NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. Kraków, 3 lutego 1912. Nr. 5.

Pod groźbą ukrzyżowania.

(Treść na str. 2).



Nr. 5. „Nowości Illustrowanych" zawiera: Drugi „Sokół" w Tarnowie. — Książę-kapłan. — Nowy gabinet francuski. — O kontrabandę wojenną — Arabska dyplomacya. — Jubileusz arcybiskupa [illegible] — Praca oświatowa na wsi. — Walka o dziedzictwo „żółtego smoka". — Z wojny włosko-tureckiej. — Uroczystość Jordanu w Przemyślu. — Kurs agentów handlowych we Lwowie. — Pół miliona rubli na cele społeczne — Jubileusz humorysty-rysownika. — Arystokratyczna koncertantka. — Dramat miłosny w Tarnowie. — Szpiegostwo bez końca. — Niepoprawny morderca.

Pod groźbą ukrzyżowania.

(Do illustracyi tytułowej).

Wśród maryawitów znów zapanowało wrzenie... W głównej ich siedzibie, w Łodzi, przyszło nawet do burzliwych scen, którym dopiero policya musiała



Pod groźbą ukrzyżowania: Duchowny maryawicki Golembiowski.

kres położyć. Bardziej jednak charakterystyczne od tych awantur jest podłoże, na którem one wynikły — wprost średniowieczna ciemnota i fanatyzm. Główną bohaterką tych zajść jest sfanatyzowana kobieta, niejaka Masztalerzowa, która poczęła miewać rozmaite wizye... Wnet otoczyło ją grono wyznawczyń, które poczęły głosić, że trzech biskupów maryawickich: Kowalski, Golembiowski i Próchniewski przedstawia upostaciowaną... Swiętą Trójcę. Niepomogły perswazye i tłomaczenia: sfanatyzowane kobiety coraz natarczywiej głosiły swą „wiarę" i... napastowały owych duchownych maryawickich, których w swej obłąkanej wyobraźni uznały za świętych...

Doszło wreszcie do tego, że wyznawczynie „objawień" Masztalerzowej poczęły z całą powagą głosić, iż wśród Maryawitów, w celu ich odkupienia, musi się powtórzyć historya Męki Pańskiej i Golgoty i że biskup Kowalski musi być... ukrzyżowany...

Sfanatyzowane kobiety nie zadowolniły się jednak słowną propogandą i swe „objawienie"... postanowiły w czyn wprowadzić... W kościele maryawickim przy ul. Franciszkańskiej w Łodzi chmara sfanatyzowanych kobiet rzuciła się na Kowalskiego i z bluźnierczym okrzykiem „Jesteś Chrystusem, więc umrzyj na krzyżu" — chciała naprawdę wykonać swój straszny zamiar. Dopiero wezwana policya zdołała uwolnić biskupa Kowalskiego z tej niezwykłej opresyi...

Zajście to jest też wymowną illustracyą strasznej ciemnoty, jaka panuje w sfanatyzowanych kołach maryawickich.. Przekonał się o tem dowodnie najwyższy duchowny maryawicki, którego przed żarliwością jego własnych wyznawczyń — musiała bronić policya. Illustracya nasza przedstawia właśnie chwilę, gdy znalazł się on w najkrytyczniejszym momencie — bo pod groźbą ukrzyżowania przez obłąkane kobiety.

Drugi „Sokół" w Tarnowie.

Uroczystości grunwaldzkie, podczas których odbyła się imponująca manifestacya polskiego Sokolstwa w Krakowie, podniosły zapał społeczeństwa do idei sokolej i powołały do życia nowe organizacye. W wielu miejscowościach, gdzie przedtem idea sokola nie miała zupełnie wyznawców, powstały nowe gniazda, rozwijające się doskonale. Między innymi w Tarnowie, gdzie już pracowało jedno gniazdo sokole, w roku grunwaldzkim założono drugie gniazdo na przedmieściu Strusina. Odrazu skupiło ono w swych szeregach znaczną ilość członków.

Zaraz po uchwaleniu zawiązania towarzystwa zapisało się przeszło 50 ciu członków, zaś do czasu prawnego istnienia tj. do 10 stycznia 1911 r. liczył młody „Sokół" około 150 członków, a obecnie liczba członków dochodzi do 180 i wzmaga się z każdym miesiącem.

Ćwiczenia odbywają się regularnie w poniedziałki, środy, czwartki i piątki każdego tygodnia, dla członków, pań i członków czytelni robotniczej im. Kilińskiego pod fachowem i sprężystem kierownictwem naczelnika gniazda.

Illustracya nasza przedstawia pierwszy wydział „Sokoła" z prezesem Józefem Chciukiem, wiceprezesem Stanisławem Smalcem i naczelnikiem Józefem Zającem.



Pod groźbą ukrzyżowania: Biskup maryawicki Jan Kowalski.

Książę-kapłan.

O ile rodziny arystokratyczne dostarczają licznego zastępu duchownych, o tyle w domach panujących powołanie do stanu duchownego jest rzadkością. W obecnych czasach jeden jedyny dwór saski posiada wśród członków swej rodziny kapłana, ks. Maksymiliana, który jest bratem obecnego króla saskiego Fryderyka Augusta.

Książę Maksymilian (Wilhelm, August, Albert, Karol, Grzegorz, Odo) urodził się w Dreźnie 17 listopada 1870 r. Wstąpiwszy na uniwersytet, ukoń-



Drugi „Sokół" w Tarnowie: Grupa członków Wydziału z prezesem Józefem Chciukiem (w pośrodku) wiceprezesem Stanisławem Smalcem (po prawej stronie) i naczelnikiem Józefem Zającem (po lewej).

czył najpierw wydział prawniczy, a następnie przeszedł na wydział teologiczny, uzyskując na obu fakultetach doktoraty. Dnia 26 lipca 1896 r. został



Książę kapłan: Ks. Maksymilian saski. profesor liturgii na uniwersytecie we Fryburgu.

wyświęcony na księdza. Powołany następnie na uniwersytet we Fryburgu, objął katedrę prawa kanonicznego i liturgii, jako profesor nadzwyczajny.

Ks. Maksymilian zawitał obecnie po raz drugi do Galicyi jako gość metropolity ks. Szeptyckiego we Lwowie. Zajmuje się on bowiem specyalnie badaniami historycznemi i liturgicznemi, dotyczącemi rozwoju kościoła wschodniego, grecko-katolickiego i celem zebrania dokładnych informacyi przybył do Galicyi, aby tutaj zbadać materyał archiwalny ruskiej metropolii lwowskiej. Po raz pierwszy bawił ks. Maksymilian w Galicyi przed trzema laty i bywał wówczas częstym gościem w loży marszałkowskiej sejmowej, przysłuchując się z zainteresowaniem obradom sejmu galicyjskiego.

Z Galicyi udaje się ks. Maksymilian do Fryburga, gdzie otrzymał obecnie nominacyę na zwyczajnego profesora liturgii.

Illustracya nasza przedstawia podobiznę księcia-kapłana.

Nowy gabinet francuski.

Traktat Marokański, który obalił we Francyi gabinet p. Caillaux, nie jest łatwym orzechem do zgryzienia. Nowy gabinet utworzony przez p. Poincarre na razie pomija dyskretnem milczeniem całą sprawę, usiłując przedtem pozyskać sobie przyjaciół i zwolenników. Deklaracya, jaką nowy prezes gabinetu złożył publicznie jako swe wyznanie wiary, była bardzo radykalna i utrzymana w tonie wojowniczym. To też Niemcy, zajęte obecnie wyborami, przestały atakować Francuzów i czekają.

Zresztą nowemu gabinetowi francuskiemu nawinęły się odrazu na początku rządów inne trudności. Włosi pomimo przyjacielskich oświadczeń Francyi, zajmują i rewidują jeden po drugim francuskie okręty handlowe. Grozi więc ostry zatarg, a gabinet francuski odgraża się, że wyśle okręty wojenne na wybrzeża włoskie, aby zademonstrowały przeciw takiej „przyjacielskiej“ polityce.

Illustracya nasza przedstawia zebranie wszystkich członków nowego gabinetu, które odbyło się w nocy zaraz po ukonstytuowaniu.



Nowy gabinet francuski: Pierwsze posiedzenie nowego gabinetu francuskiego w dniu 14 stycznia b. r. Siedzą od strony lewej ku prawej: Leon Bérard, podsekretarz min. oświaty; Guisthau, min oświaty; Steeg, min spraw wewn.; Poincaré, prezes ministrów i min. spraw zagran.; Klotz, min. finansów; Jean Dupuy, min. poczt i telegrafów; Lebrun, min. kolonialny; Chaumet, podsekretarz min robót publ.; Leon Bourgeois, min. robót publ.; Ferd. David, min. handlu, Millerand, min. wojny; Delcassé, min. marynarki; Pams min. rolnictwa; Besnard, podsekretarz min. finansów.

Arystokratyczna koncertantka.

Wśród wielu sensacyi, jakie w ostatnich czasach przeżywa Warszawa — przyszła obecnie kolej na sensacyę wprawdzie niepolityczną lub społeczną, lecz tylko... koncertową, niemniej jednak interesującą dla szerokich kół melomanów... Swiat artystyczny Warszawy w niedzielę dnia 4 lutego ma przyjąć do swego grona nowicyuszkę, którą poprzedza już sława cicha, lecz zasłużona.

Nowicyuszką tą, która ukaże się na estradzie w salonach ratusza, jest z hr. Zamoyskich, Marya hr. Juliuszowa Potocka, rodzona siostra ordynata Maurycego hr. Zamoyskiego, znanego działacza na terenie warszawskim. Hrabina Potocka, na swój pierwszy występ wybrała koncert urządzony przez grono młodych literatów i dziennikarzy warszawskich, na budowę pomnika na grobie przedwcześnie zgasłego poety i pisarza Mieczysława Srokowskiego.

Wśród naszej rodowej arystokracyi talenty artystyczne nie należą do rzadkości. Lwów n. p. pamięta jeszcze przed dwoma laty urządzane w salach „kasyna miejskiego“ przedstawienia amatorskie, gdzie na scenie występowali jako aktorzy młodzi Dzieduszyccy, Tyszkiewicze i inni, zbierając huczne oklaski.

Hr. Potocka jednak zamierza estradę traktować nie tylko jako debiut amatorski, ale jako poważną pracę artystyczną.



Arystokratyczna koncertantka: Marya z hr. Zamoyskich, hr. Juliuszowa Potocka, która wystąpi w d. 4. lutego na koncercie w Warszawie.



O kontrabandę wojenną: Francuzi w Tunisie witają uroczyście pasażerów okrętu „Carthage", wracającego z niewoli włoskiej.

O kontrabandę wojenną.

Niepowodzenia w Trypolisie uczyniły Włochów bardzo nerwowymi. Skutkiem tego marynarka wojenna włoska przez zbyt ścisłe wykonywanie nadzoru nad okrętami handlowymi obcych mocarstw, żeglującymi po morzu Śródziemnem, omal nie naraziła Włoch na poważny zatarg polityczny z Francyą. Prawo międzynarodowe pozwala stronie wojującej zatrzymywać okręty handlowe obce, podejrzane o przewożenie kontrabandy wojennej i rewidować je. Nie pozwala jednak na konfiskowanie pieniędzy przewożonych, choćby były przeznaczone dla jednej ze



Jubileusz humorysty-rysownika: Ludwik Nawojewski („Nawoj").

stron wojujących, a tem mniej na aresztowanie pasażerów, znajdujących się na pokładach obcych statków.

Tymczasem Włosi wbrew przepisom konwencyi w Hadze w przeciągu kilku dni zaaresztowali dwa okręty handlowe francuskie. Pierwsze aresztowanie nastąpiło na wodach sardyńskich, a więc już poza obrębem wód, objętych wojną. Krążownik włoski aresztował statek francuski „Carthage", na którego pokładzie znajdował się aparat lotniczy i awiatorowie Duval, Obre i Carnus, udający się do Tunisu. Aparat ten uznano za kontrabandę wiezioną do Trypolisu W kilka dni potem z Marsylii wypłynął do francuskiego Tunisu drugi statek pasażerski „Manouba", utrzymujący stałą komunikacyę między tymi portami. Włosi zaaresztowali go na pełnem morzu i zaprowadzili do swego portu Cagliari. Na pokładzie „Manouby" aresztowano 29 pasażerów, których Włosi agnoskowali jako żołnierzy tureckich i skonfiskowano znaczne sumy pieniędzy przy tych pasażerach znalezione. Z przeprowadzonych dochodzeń okazało się jednak, że byli to lekarze tureccy, a pieniądze przeznaczone były na organizacyę służby sanitarnej w Trypolisie.

W Paryżu wybuchnęło oburzenie. Rozpoczęła się wymiana not oficyalnych, w których gabinet francuski domagał się natychmiastowego wypuszczenia okrętów i aresztowanych pasażerów. Rozgoryczenie powiększył fakt, iż okręty włoskie aresztowały w tym czasie także parowiec rosyjski „Odessa" pod zarzutem transportu kontrabandy, nie zatrzymywały go jednak, ale odprowadziwszy na wody neutralne, puściły. Ostatecznie oba rządy zgodziły się, aby rozstrzygnięcie zatargu powierzyć trybunałowi w Hadze, zaś rząd włoski z obawy przed zawikłaniami politycznemi oba statki i pasażerów uwolnił.

Kiedy statek „Carthage" przybył do Tunisu, ludność francuska zgotowała mu owacyjne przyjęcie.

Celem uniknięcia w przyszłości podobnych zatargów, ma być wybrana komisya wojenna francusko-włoska, która w razach wątpliwych będzie załatwiała spory co do praw konfiskowania kontrabandy na okrętach francuskich.



O kontrabandę wojenną: Lotnicy francuscy, aresztowani przez Włochów na pokładzie okrętu „Carthage".



O kontrabandę wojenną: Okręt francuski „Manouba", na którym Włosi aresztowali 29 Turków.

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

2)

— Jakto? — zawołał zdziwiony Prudzicki — czyżby i panie wyjechały?

— A cóż my same będziemy tu robiły? Wyjedziemy z Romciem.

— Naturalnie, że wyjedziemy — dodała Irena. — Wprawdzie będę tęskniła do Warszawy, ale chyba to nie potrwa bardzo długo.

— Nie wiem, co pani nazywa długo — mówił z przekąsem Prudzicki. — W rozkazie napisano: na czas nieograniczony... Może to oznaczać, tak dobrze rok, jak pięć, dziesięć, albo i więcej.

— I gdzie wyjedziemy? Co my zrobimy? — narzekała matka — a co będzie z meblami? z pościelą? kuchnią?

— Poradzimy sobie — uśmiechnął się syn z przymusem — mama zmęczona i stąd brak odwagi.

Obaj młodzi wstali i pożegnali się, obiecując chętną pomoc we wszystkich sprawach.

Podniecenie, spowodowane nagłym rozkazem wyjazdu, wykluczyło myśl udania się na spoczynek. Roman zapalił papierosa, przeszedł się po pokoju, spojrzał na milczące niewiasty i rzekł:

— Smutki i żale nic nam nie pomogą. Zginąć, nie zginiemy... mam oszczędzonych trzy tysiące rubli, a trzymiesięczna pensya sześćset rubli... od biedy wreszcie pięć tysięcy kapitału mamy...

— O, tych nie licz — zaprotestowała matka z żywością — przeznaczyłam na posag Irenki i tych nie ruszę.

— Ja też mówię, że w razie ostateczności one staną pomocą mamie i Irence... więc tak bardzo źle nie jest z nami.

— A dokąd wyjedziemy? — spytała Irena.

— Naturalnie do Krakowa — odpowiedział bez wahania.

— Prawda! — poweselała matka — że mi też do głowy nie przyszło... Mamy tam nawet krewnego, wasz zimny wuj, bo to cioteczny mój brat, Jaś Terlikowski.

— Mało wiem o nim — mruknął syn.

— On jest tam urzędnikiem, podobno znacznym... To zamożny człowiek, ostatni raz widziałam go przed kilkoma laty na wsi.

— Jakim sposobem został on Galicyaninem? — spytała Irena.

— Jego ojciec, dzierżawca w Miechowskiem, oddał syna do szkół galicyjskich i on już tam pozostał. Nie utrzymywaliśmy z nim bliższych stosunków, ale zawsze on krewny i chętnie nas przyjmie.

— No, wiele na to nie liczę, ale bądź co bądź udzieli mi pewnych informacyi, da mi wskazówki.

— Nie znasz go, Romciu — zaprzeczyła matka żywo — to bardzo dobry człowiek. Dla was młodych pokrewieństwo nie ma wielkiego znaczenia, a to bardzo źle. Przekonacie się kiedyś w życiu, że krewny, to najlepszy przyjaciel i doradca.

— No, mamo — zaśmiała się Irena — a stryj Ferdynand czy odezwał się po śmierci ojca?

— To wyjątek! Zresztą co innego rodzina ojca, ona jest zawsze dalsza i obojętniejsza, zaś rodzina matki bliższa. Jutro napiszę do Jasia, że zjeżdżamy, on nam wszystko ułatwi, pomoże...

— Dobrze, mamo. A list ten będę mógł przeczytać?

— Dlaczego nie?... O co ci idzie?

— Ażeby mama nie prosiła go o nic, tylko zawiadomiła, że przyjeżdżamy na czas dłuższy do Krakowa.

— Ależ on nam pomoże ulokować się. Pomyśl, obce miasto, nie wiemy, gdzie się obrócić...

— Od tego, mamo, są hotele.

— Hotele!? — zgorszyła się — policz, Romciu, ile to nas będzie kosztowało, a przecież nie mamy pieniędzy na wyrzucenie. Przypuszczam, że na razie zaprosi nas do siebie...

— O ile ma dość obszerne mieszkanie — przerwała jej Irena.

— W takiem położeniu, jak nasze, trudno wygód wymagać, trzeba się pomieścić, jak się da. Chcecie, czy nie chcecie, ja napiszę, ażeby wyszukał dwa pokoiki za przystępną cenę, nie jedziemy przecież na dzień, na dwa, ale na Bóg wie, jak długo.

— Hm... może mama ma słuszność, zawsze to będzie taniej... No i chyba na dzisiaj dosyć... idźmy spać.

— Jakto, Romciu, a meble, a pakowanie, a kuchnia cała!

— Jutro, mamo... jeszcze sześć dni do wyjazdu.

— A paszport, Romciu!?

— Wydadzą nam bezpłatnie, tyle skorzystamy — zaśmiał się.

III.

Po nocy nieprzespanej w wagonie trzeciej klasy czuła się pani Czajkowska na Granicy zdenerwowaną, smutną i przygnębioną. Obawiała się każdego strażnika, żandarma, mówiła przyciszonym głosem w głuchej obawie, że kara wyjazdu syna z granic Królestwa może być zmieniona na więzienie lub zsyłkę na Sybir. Nie śmiała o tem mówić z dziećmi w obawie, że odbierze im odwagę i przytomność umysłu, ale sama modliła się gorąco i jedynem jej pragnieniem było dostać się do Galicyi, do kraju wolności i swobody.

Z podejrzliwą obawą śledziła każdy ruch żandarma, a gdy ten spytał ją o paszport przy wyjściu z peronu do dworca, pobladła, nie mogła słowa przemówić i dopiero Roman pospieszył z wyjaśnieniem.

W wielkiej sali restauracyjnej usiadła w kącie, cicha i drżąca. Z niemałem zdziwieniem spostrzegła, że Irena i Roman najspokojniej pili herbatę, żartując z przebytych niewygód podróży.

— A mama jak się czuje? — spytała Irena — boli może głowa?

— Nie... chciałabym tylko być już za granicą... w Galicyi.

— Za godzinę odchodzi pociąg... pójdę przypilnować nadania rzeczy — rzekł Roman, wstając z krzesła.

Matka odprowadziła go oczyma do drzwi i westchnęła. Po chwili przemówiła cicho:

— Irenko... tak się boję...

— Czego, mamo?

— A jeśli... jeśli nas nie puszczą?

— To wrócimy, mamo.

— Nie! Nie chcę — umilkła w obawie zdradzenia swej troski.

Wpatrywała się niespokojnie w drzwi, któremi wyszedł syn, aż wreszcie odetchnęła z ulgą, widząc go. Posługacz z pakunkami ręcznemi otworzył drzwi austryackiego wagonu trzeciej klasy, z którego buchnął zaduch brudu i złego tytoniu. Roman zajrzał w głąb wagonu niskiego, z brudnemi, wytartemi ławkami, na podłodze walały się skorupy z jaj, skórki pomarańcz, okruszyny z jakiegoś jedzenia, ogryzki z owoców.

— Zaprowadźcie nas do innego wagonu, tu tak brudno — powiedział do posługacza.

— Proszę pana, wszystkie jednakie, niema co szukać.

— Romciu, siadaj... nie grymaś — nalegała matka.

Weszli do wagonu, a pani Czajkowska, jako dobra gospodyni, ujrzawszy tyle śmieci, zawołała:

— Dlaczego oni nie zamiotą?

— Proszę łaski pani, na co się to przyda? Dziś zamiotą, a jutro znów będzie to samo — odpowiedział posługacz, układając pakunki na wąskich, niskich półkach.

Na dworze mżył deszcz wrześniowy, a woda spływała po brudnem oknie.

— Otwórz Romciu! Oddychać nie można.

Posłuszny, zbliżył się do okna, ale pasek do podnoszenia szyby był urwany i bez jakiegoś choćby tylko dłuta niepodobna było otworzyć.

— Zaczekamy na konduktora — powiedział i odstąpił od okna.

— Irenko, nie siadaj na ławce — otrzegła matka — jakiś płyn rozlany.

Przy pomocy gazety oczyszczono jako tako ławkę i zaczęło się niecierpliwe wyczekiwanie wręczenia paszportu. Ale i to minęło. Pociąg ruszył. Wagon, emeryt, zmęczony długoletnią służbą, począł trząść się w bezsilnym gniewie starczym, skrzypieć, huczeć, piszczeć, jęczeć. Przez szpary przy oknach przeciekał deszcz i cieniutką strugą spływał na podłogę, tworząc lepkie błoto.

Pani Czajkowska teraz nie zważała na brud, przeżegnała się i z twarzą rozpromienioną zwróciła się do dzieci:

— Nareszcie wolni jesteśmy!

— Nie byliśmy w więzieniu — uśmiechnęła się Irena.

— Aż do ruszenia pociągu bałam się, że Romcia zawrócą i osadzą w więzieniu.

— Gdybym był naprawdę coś zawinił w ich oczach, czy sądzi mama, że pozwoliliby mi wyjechać? I skąd mamie te myśli?

— Opowiadano mi, że z Granicy zawracają do Warszawy i aresztują... ale chwała Bogu skończyło się szczęśliwie.

— A ja myślę, mamo, że dopiero się zaczyna — westchnął Roman, a zwracając się do konduktora, żądającego biletów, poprosił:

— Może pan zechce otworzyć okno.

Konduktor zbliżył się, a nie mogąc ująć w palce skraweczka paska, mruknął:

— A to stare pudło... czy konieczne otworzyć?... deszcz pada.

— Kiedy tu tak duszno.

— Zaraz — począł kluczem podważać ramę szyby i nareszcie okno z głuchym turkotem opadło. Mdły, brudny zapach ustępował wilgotnemu powietrzu.

Pociąg z przeraźliwym gwizdem wjeżdżał na stacyę Szczakowę, rojącą się od strażników z zielonymi wyłogami i od posługaczy, którzy, zanim pociąg stanął, wpadali do wagonów, jak dyabli po duszę, porywając pakunki ze słowami:

— Do rewizyi!... Do rewizyi!

Matka i córka w obawie o swe pakunki ledwie mogły nadążyć za posługaczem i znalazły się w niskiej, brudnej izbie, w wąskiem przejściu pomiędzy ścianą a ladą. Roman, który sam niósł swój pakunek, popychany i potrącany przez spieszących się żydów, z niesmakiem patrzył po izbie brudnej, a przypomniawszy sobie obszerną salę rewizyjną na Granicy, mruknął lekceważąco:

— I to ma być Europa!?

Zanim zbliżył się rewidujący strażnik do rozłożonych pakunków, dotknął ktoś ramienia Romana, który, odwróciwszy się, zobaczył szczupłego człowieka w mundurze, w czapce ryneczkowatej z bączkiem.

— Pański paszport! — rzekł urzędnik surowym tonem dygnitarza.

Matka, przestraszona tem niespodziewanem żądaniem, zrobiła wielkie oczy i mimowoli spytała:

— Jaki paszport? Na co paszport?

— Takie prawo — rzekł stanowczym głosem — proszę o paszport!... Prędzej! — rozkazał.

Roman wyjął wreszcie paszport, urzędnik z miną dygnitarza odczytał nazwisko i spytał tonem urzędowym, suchym:

— Ile osób?

— Matka, siostra i ja.

Urzędnik odwrócił kartkę, a na żółtawo-bibulastej twarzy wykwitł uśmiech złośliwego zadowolenia.

— Gdzie wiza!? — zawołał ostro — tu niema wizy.

— Jakiej wizy?

— Wizy naszego konsula w Warszawie.

— Nie wiedziałem, że trzeba.

— Niewiadomość pana nie tłómaczy — pouczał surowo — wiza musi być.

Ten szorstki ton i nadęta mina rozdrażniły Romana:

Skądże panu wezmę wizę? Poszlij pan po nią do Warszawy.

Na tę śmiałą odpowiedź urzędnik oniemiał na chwilę, ale wnet twarz jego pofałdowała się w najsurowsze zmarszczki, maleńkie oczka świdrowały Romka, wąsiki blond naszczurzyły się i rzekł głosem obrażonym:

— Służbie wydawaj pan rozkazy, nie władzy! Zdejmę protokół z pana i odeślę do Granicy.

Matka pobladła, ale Romek spojrzawszy na rozgniewanego urzędnika przypomniał sobie Heroda z szopki i odpowiedział z uśmiechem:

— Dobrze panie, niech pan zdejmie protokół, byle nie palto.

— No, zobaczymy! — zawołał gniewnie i zwracając się do ajenta, który stał obok, rozkazał:

— Proszę tego pana przypilnować i poprowadzić do kancelaryi po skończonej rewizyi.

Czajkowscy byli tą sprawą paszportową tak przejęci, że gdy przyszedł strażnik, zapomnieli o wszystkich przestrogach.

— Co pani ma do oclenia? — spytał dość uprzejmie — herbata? tytoń?

— Mam pięć funtów herbaty... ale to na prezent i na własny użytek.

— To wszystko jedno... proszę wyjąć — i odłał pakiet na wagę — a cukry są?

— Mam tylko kilka słoików konfitur.

— Gdzie?

— W kufrze — wskazała.

— A pani ma cukry? — zwrócił się do Ireny.

— Pudełko na drogę — wskazała na swój kufereczek.

— O, za wiele... pójdzie na wagę.

I Roman przyznał się do papierosów i tytoniu, zabrano mu jedno i drugie.

— Do wagonu przyniesie się kwity i państwo opłacicie należność — rzekł strażnik i poszedł dalej.

Ajent policyjny czekał tej chwili i zwrócił się do Romana:

— Proszę do protokółu.

— Zaraz... niech się mama nie niepokoi, to formalność — pocieszał matkę, a swoją drogą szedł z ciężkiem sercem.

W biurze zastał przyjemnego bruneta w mundurze i owego urzędnika.

— Pan zapomniał o wizie, a to rzecz konieczna — przemówił uprzejmie komisarz.

— Nie wiedziałem i z powodu takiej drobnej formalności nie zechce pan mnie narażać na powrotną drogę — tłómaczył się Roman.

Komisarz przepatrywał paszport, dodając po chwili:

— Pan jedzie do Austryi nie dla własnej przyjemności, jak widzę z paszportu.

— Wcale nie... jadę z rozkazu.

— Do której miejscowości?

— Do Krakowa.

— Hm... za wiele Królewiaków gromadzi się w Krakowie, dlaczego nie jedzie pan do innego miasta?

— Mam krewnego w Krakowie.

— Kogo?

— Jan Terlikowski.

— A... wiem.. znam go... Panie oficyale — zwrócił się do urzędnika — każ pan zawołać spedytora. — Następnie zwrócił się do Romana — paszport pana odeśle spedytor do konsula, za wizę tu pan zapłaci, no i da pan dwie korony spedytorowi za fatygę. Paszport odeślę panu... jaki adres?

— To chyba do pana Terlikowskiego — wymienił ulicę i numer domu.

Po uiszczeniu zapłaty odszukał matkę i siostrę.

— I co Romciu... wracamy do Warszawy? — zawołała niespokojnie.

— Nie, mamo, to zwykła formalność, zapłaciłem i paszport odeślą mi później.

— Jakże poradzimy sobie bez paszportu? — martwiła się.

— W Austryi niema przymusu paszportowego... zresztą dostaniemy.

Do stojących przed wagonem zbliżył się strażnik z kwitem. Należność cłowa wynosiła przeszło czterdzieści koron.

— Co!? Tak wiele! — zawołała pani Czajkowska, oburzona — i za co?

Wzięła do ręki kwit, pisany po niemiecku, a nie znając tego języka, podała papier synowi.

— Zobacz Romciu... nie podobna płacić tyle pieniędzy, to zdzierstwo.

Roman nie umiał odcyfrować pisma kancelaryjnego, używanego przez biurokracyę austryacką, które to hieroglify tylko wtajemniczeni umieją odgadnąć, a bardzo niewielu odczytywać.

— Pójdę, mamo, do urzędu cłowego, dowiem się.

— A nie płać Romciu! Wolę stracić!

W chwili gdy rozpytywał strażnika o przyczyny tak znacznej opłaty, wszedł szczupły, wysoki pan w mundurze, na którym spoczęły oczy wszystkich strażników.

— O co idzie? — spytał urzędowo.

— Czterdzieści kilka koron za herbatę i papierosy, to zbyt wiele — rzekł Roman.

Naczelnik wziął papier do ręki, spojrzał i spytał:

— Pan na długo do nas?

— Nie wiem, może na rok, na dwa.

— A tak? W takim razie — rzekł, zwracając się do urzędnika, siedzącego za stołem — funt herbaty i cukierki bez opłaty, za resztę pan zapłaci.

— Ależ, panie naczelniku, cło za papierosy i tytoń przewyższa wartość, zapłaconą w Warszawie — tłómaczył Roman.

— Możliwe, ale u nas monopol tytoniowy i na to nie poradzę.

— Więc zostawię... nie wezmę.

— To panu wolno — skinął głową i odszedł.

Po pewnem wahaniu zdecydował się Roman na opłacenie setki papierosów, a posługacz, zanosząc oclone rzeczy do wagonu, mówił:

— Że też pan nie ukrył tytoniu, gdyby tak prawdę zeznawać przed naszym rządem, każdy chodziłby bez butów a może i bez koszuli.

— Dlaczegóż to? — zaśmiał się Roman.

— Bo u nas każdy urząd na to, ażeby darł z ludzi, co się da.

Ten pogląd posługacza na działalność rządu wydał się Romanowi bardzo zabawnym, a tłómaczył go sobie tem, że pewno tego posługacza pochwycono na przemycaniu i stąd jego gorzka krytyka.

Odezwał się pierwszy dzwonek i Czajkowscy wsiedli do wagonu. Gdy matka użalała się nad zdzierstwem urzędu cłowego, Irena zawołała ze śmiechem:

— Ach, Romku, jak oni piszą w tej Galicyi!

— Co? Gdzie?

— Czytaj! — wskazała na napis przy oknie — patrz: „wychylanie się dla życia jest niebezpieczne"... A co? I kto się wychyla dla życia? Dlaczego nie mam się wychylić po życie? W czem tkwi niebezpieczeństwo?

Roman zaśmiał się, nawet matka, mimo zmartwienia, uśmiechnęła się, a Irena, patrząc po wagonie, zawołała:

— A tam w górze, przy rączce, napis: „hamulec bezpieczeństwa!" Ha, ha, ha. I kto zechce hamować bezpieczeństwo!? Że też Galicyanie znoszą podobne barbarzyństwa!?

— Przyzwyczaili się! — zrobił filozoficzną uwagę Roman.

Pociąg stanął, a Irena rzekła:

— Druga stacya galicyjska! — i wychyliwszy się z okna, zauważyła: „Cięszkowice"! Romek! Patrz na pisownię!

— Prawda!... Nie jestem filologiem, ale ta nazwa nie może pochodzić ani od cieszyć się, ani od ciężko... tak, to dziwoląg językowy.



— Gdzie wiza — zawołał ostro — tu niema wizy.

— Ciekawa rzecz — mówiła wesoło Irena — czy oni wszyscy tak piszą?

— Wam żarty w głowie — powiedziała matka — ale co ja zrobię z konfiturami? Wyjęli mi z kufra, a przecież w ręku nie poniosę słoików.

— Mamo, opróżnię mój koszyczek i włożymy konfitury.

Zaczęło się przepakowywanie, gdy pociąg dojeżdżał właśnie do Trzebini i stanął daleko od stacyi, co zdziwiło jadących. Właśnie przechodził konduktor, którego też spytał Roman o przyczynę.

— Pewno *sztreka* nie jest wolna — odpowiedział w przejściu.

Pociąg zwolna zaczął się posuwać naprzód, a od strony dworca na torze słychać było rozkazy:

— *Geleize zwei* musi być *bahnfrei* dla *personki*.

— Panie naczelniku, ona ma *verspätung*, meldowali z *vorstacyi*.

— Nie gadaj! — krzyknął ktoś — tylko *szybuj*, a ostatnie wagony przed *weichą odbremzuj!*

— Co oni mówią? — spytała zdziwiona Irena — niby po polsku, a nic nie rozumiem.

— I ja również — przyznał Romek.

— To dziwne, że im wolno tak kaleczyć nasz język — oburzała się Irena. — Przecież tu na kolei są Polacy, nie Niemcy i Rosyanie.

— Irenko, poco się mieszasz w nieswoje rzeczy — zauważyła matka — czy tem co zmienisz?

— Moja mamo, jeśli będziemy zawsze w milczeniu znosili nadużycia — przemówił Romek — nigdy nie zajdą zmiany na lepsze.

— Lecz jeśli to tutejszych nie razi, dlaczego my mamy się wtrącać?

— Czuję się tak dobrze tutaj w Polsce, jak w Warszawie — odpowiedział chmurny — i tu, czy tam, przysługuje mi prawo krytyki.

Dalszą rozmowę przerwało wejście do wagonu posługaczy, nawołujących za konduktorem:

— Do Wiednia! Przesiadać!

W Trzebini wsiadł do przedziału człowiek lat trzydziestu kilku, ubrany dość skromnie i usiadł w kącie, a w ostatniej chwili wpadł zdyszany żyd, w mokrym, zabłoconym chałacie i rzuciwszy zawiniątko brudne na ławkę, pospieszył do okna, ażeby dokończyć rozmowy ze współwyznawcą. Przy oknie z jednej strony siedziała Irena, z drugiej matka, a gruby żyd, nachylony przez okno, dotykał ich swym brudnym chałatem, chociaż się odsuwały.

Już pociąg ruszył, a krzykliwy szwargot nie ustawał, wreszcie żyd zamilkł, ale nie odstępował od okna, kręcąc pejsy zaślinionymi palcami.

— Może pan ustąpi? — zrobiła uwagę matka.

Żyd zaledwie odwrócił głowę na jej głos i nucąc z cicha, stał dalej.

— Niechże pan siądzie! — głośniej przemówił Roman.

Żyd udał, że nie słyszy. Zniecierpliwiło to wkońcu cichego pasażera, który krzyknął:

— Słyszałeś, psi synu! Ustąp, bo wylecisz przez okno.

Na te słowa żyd pospiesznie odszedł od okna, mówiąc uprzejmie do pasażera:

— Pan nie potrzebuje się tak gniewać, ja byłbym i tak odszedł. Co przyjemnego stać?

— Zawsze ci sami! — rzekł Roman z uśmiechem.

— Ciekawa jestem, czy Jaś będzie na dworcu? — odezwała się matka.

— Czyż mama telegrafowała? — zdziwiła się Irena.

— Obawiałam się, że list na czas nie dojdzie i nadałam depeszę.

— No, stało się — westchnął Roman — ale żałuję, że mama telegrafowała.

— Dlaczego?... Przecież on mój cioteczny, poradzi. Nie wiemy, gdzie zajechać, a prosiłam go, ażeby dla nas wyszukał mieszkanie.

— To prawda, ale on w swej odpowiedzi zbył ogólnikiem prośbę mamy.

— Bo jeszcze nie znalazł stosownego mieszkania, a teraz mógł już nająć.

— Gdybyśmy znaleźli takie mieszkanie, jak w Warszawie — westchnęła Irena — tak nam było dobrze.

Wszczęła się rozmowa na temat mieszkania, posypały się wspomnienia z Warszawy i wreszcie pociąg wjechał na dworzec krakowski. Ze wszystkich okien, ze wszystkich stron wołali przybyli:

— *Träger!... Paker!* Tylko tu i ówdzie odezwał się głos królewiaka: posługacz!

Na próżno pani Czajkowska rozglądała się po peronie, nie spostrzegła krewnego. Posługacz się niecierpliwił, wkońcu spytał:

— Ma pani kufer na *frachcie?*

— A mam.

— Proszę o kwit, a państwo tu zaczekają chwileczkę.

Ta chwileczka przeciągnęła się dość długo i na pół pustym peronie dojrzała pani Czajkowska swego ciotecznego brata, idącego od drzwi wyjściowych.

— Jest Jaś! — zawołała uradowana, idąc naprzeciw niego.

— A... Sabinka!... jakże mi miło! — ucałował jej rękę, przyglądając się bacznie jej sukni i kapeluszowi.

— Gdzież dzieci? — spytał po chwili.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Arabska dyplomacya.

Wyprawa do Trypolisu zgotowała Włochom gorzką niespodziankę: zajadły opór miejscowej ludności arabskiej. Władze włoskie usiłowały przeciągnąć Arabów na swą stronę, darząc ich swą przyjaźnią, ale bezskutecznie. Arabskie plemiona chwyciły za broń i wypowiedziały walkę najeźdźcom. Zaczęły się straszne represye włoskie, sądy wojenne i masowe egzekucye Arabów, schwytanych z bronią w ręku... Jednocześnie jednak Włosi nie ustają w zabiegach, aby pozyskać spokojną ludność arabską... W tym celu biorą udział w religijnych uroczystościach Arabów i rozwijają również filantropijną działalność wśród ludności Trypolisu... W jednej ręce dzierżą krwawy miecz, w drugiej — gałązkę oliwną pokoju...

Podobnie zachowują się i Arabowie... Gdy plemiona arabskie walczą fanatycznie na bojowym froncie pozycyi włoskich i znęcają się w okrutny sposób nad wziętymi do niewoli Włochami — ludność arabska w zajętych przez włoskie wojska miastach — zachowuje wobec władz włoskich dyplomatyczne pozory przyjaźni... Na włoskie umizgi odpowiada również dyplomatycznymi objawami grzeczności... Notablowie arabscy Trypolisu biorą udział w uroczystościach włoskich i swym wrogom... składają oficyalne wizyty...

Ilustracya nasza przedstawia właśnie notablów arabskich, dążących w Nowy Rok do zamku w Trypolisie, aby złożyć życzenia gubernatorowi włoskiemu.

W szczerość tych życzeń można naturalnie wątpić, świadczą bowiem one tylko, że Arabowie są nie tylko świetnymi wojownikami, ale potrafią być również... dyplomatami.



Arabska dyplomacya: Notablowie arabscy, udający się do gubernatora włoskiego w Trypolisie z życzeniami noworocznemi.

Kurs agentów handlowych we Lwowie.

Sprawa rozwoju przemysłu krajowego nie przestaje być troską instytucyi, które wzięły sobie za cel wspomaganie go i dostarczanie mu odpowiednich środków i sił, umożliwiających jego rozrost. W Galicyi jedno z pierwszych miejsc w rzędzie tych instytucyi zajmuje Liga pomocy przemysłowej. Rozszerzywszy swą działalność na całą prawie Galicyę, Liga zorganizowała we wszystkich miastach i miasteczkach swe filie, które pracują praktycznie nad rozwojem przemysłu krajowego.

Aby zaradzić częstym narzekaniom na brak fachowo wyszkolonych ludzi, którzy umieliby się zająć zbytem naszych wyrobów krajowych, zorganizował lwowski oddział Ligi pomocy przemysłowej kurs agentów handlowych. Że utworzenie takiego kursu było potrzebnem, dowodzi okoliczność, iż zgłosiło się nań 27 uczestników.

Uroczyste otwarcie kursu odbyło się we Lwowie w sali Seminaryum przemysłu domowego Ligi, 20 stycznia b. r. Wzięli w niem udział między innymi st. radca B. Chołodecki, delegat organizacyi bojkotowej p. Garczyński, delegat Tow. szkoły handlowej dr. Piepes Poratyński i inni. Wykłady rozpoczął dyrektor Ligi p. Olszewski.

Illustracya nasza przedstawia uroczystość otwarcia kursu.

Jubileusz arcybiskupa-społecznika.

Jednem z najstarszych arcybiskupstw w Polsce jest arcybiskupstwo ormiańsko unickie we Lwowie. Ormianie, lud żyjący przemysłem i handlem, przybyli do Polski, uciekając przed uciskiem Turków, Greków i Persów około r. 1061. Następnie Leon ks. halicki rozsypanych po Rusi Ormian zgromadził we Lwowie, nadał im pierwsze przywileje i tam ich stale osiedlił. Kiedy zaś król Kazimierz Wielki zawojował Ruś Czerwoną, zwrócił uwagę na ludność ormiańską i gwarantując jej wolność religijną, wyznaczył Lwów na siedzibę ich biskupa w r. 1367. Kiedy następnie na soborze florenckim w r. 1439, kościół ormiański połączył się z Rzymem unią, Ormianie lwowscy i wschodnio galicyjscy przeszli pod władzę kościoła katolickiego. Pierwszym arcybisku-



Kurs ajentów handlowych we Lwowie: Uroczystość otwarcia kursu w sali Seminaryum przemysłu domowego Ligi pom. przem.

pem lwowskim ormiańskim był wyświęcony na tę godność arcybiskup Mikołaj Toroszewicz w r. 1625. Na stolicy arcybiskupstwa ormiańskiego zasiada obecnie arcybiskup ks. Józef Teodorowicz, który



Jubileusz arcybiskupa-społecznika: J. E. ks. arcybiskup Józef Teodorowicz.

dnia 2 lutego b. r. święci jubileusz podwójny, mianowicie dwudziestopięciolecia kapłaństwa i dziesięciolecia sprawowania rządów dyecezyą ormiańską. Postać to znana w historyi ostatniej doby. Zarówno z ławy sejmowej jako poseł, jak również z ambony lub mownicy jako znany i ceniony działacz społeczny, ks. arcybiskup Teodorowicz dał się poznać jako człowiek o wytrawnym sądzie, szczerze miłujący kraj. Przejęty na wskroś ideą demokracyi chrześcijańskiej, zabierał nieraz głos w chwilach, gdy jasno sformułowany sąd, rzucony na szalę wypadków, mógł decydująco zaciążyć na losach kraju. Dość przypomnieć jego wystąpienie po strejkach rolnych we Wschodniej Galicyi, stanowcze wystąpienia w Sejmie galicyjskim lub w Izbie panów, gdy szło o obronę praw naszych narodowych lub o rozszerzenie idei demokratyzacyi społeczeństwa. Dbały o swoją stolicę biskupią, ks. arcybiskup Teodorowicz od kilku lat przeprowadza restauracyę kościoła katedralnego ormiańskiego we Lwowie, nie szczędząc kosztów i zabiegów. Wogóle na wszystkich polach swej rozległej działalności czcigodny Jubilat pracuje z niewyczerpaną energią, ujawniając młodzieńczy zapał. Dwadzieścia pięć lat pracy kapłańskiej i dziesięć na stolicy arcybiskupiej, dźwiga na swych barkach w pełni sił i życiowej energii. To też w dniu jubileuszu należy jedynie życzyć czcigodnemu Jubilatowi, aby w tej samej sile ducha i ciała obchodził za 25 lat złote gody kapłaństwa.

Ad multos annos.



Uroczystość Jordanu w Przemyślu: Ks. Biskup Czechowicz w otoczeniu duchowieństwa dopełnia na brzegu Sanu ceremonii poświęcenia wody.

Uroczystość Jordanu w Przemyślu.

W obrządku greckim jest zwyczaj, że w święto Trzech Króli w każdej miejscowości, w obecności wszystkich miejscowych dygnitarzy odbywa się uroczyste poświęcenie wody. Akt ten ma być pamiątką chrztu Chrystusa w rzece Jordanie. W dawnych czasach wodę Jordanu posyłano z Palestyny na dwory królewskie, aby nią dokonywać chrztu dzieci królewskich.

Obecnie cześć dla wód Jordanu zachowała się jeszcze w formie ceremonii religijnych, które — jak zawsze — tak i w tym roku odbyły się z wielką uroczystością we wschodniej Galicyi. W Przemyślu ceremonii Jordanu dopełnił ks. biskup Czechowicz, poświęcając wody Sanu. W uroczystości wzięło udział okoliczne duchowieństwo, władze, wojskowość, oraz tłumy ludności ruskiej.

Illustracya nasza przedstawia chwilę święcenia wody na brzegu Sanu, w którego lodowej powierzchni wycięto dużą przeręblę.

Praca oświatowa na wsi.

Szerzenie wykształcenia rolniczo gospodarskiego wśród włościaństwa stanowi jedno z ważniejszych



Praca oświatowa na wsi: Grupa uczestniczek kursu gospodyń wiejskich w Odrzykoniu wraz z gośćmi, przybyłymi na uroczystość zakończenia kursu.



Walka o dziedzictwo „żółtego smoka“: Zgromadzeni w Pekinie członkowie mandżurskiej rodziny cesarskiej i ministrowie: 1. Książę Tsai Tao, 2. Książę Ah. 3. Książę Su, 4. Książę Tsai Fu 5 Generał Yin Tchang, 6. Książę Tsai Hsun, 7. Na Tung, 8. Ochmistrz dworu Hsu, 9 Minister spraw zagr. Tsao, 10. Książę Chia Lai.

zadań, mających na celu podniesienie rolnictwa i ekonomicznego dobrotu ludności wiejskiej. Zadanie to spełniają w Galicyi liczne kursa rolnicze, urządzane w różnych miejscowościach kraju dla drobnych gospodarzy rolnych. W gospodarstwie włościańskiem zajmuje jednak ważne miejsce kobieta. Od większego lub mniejszego uzdolnienia gospodyni wiejskiej — zależy często i pomyślny rozwój całego gospodarstwa. To też społeczeństwo oddawna odczuwało potrzebę podniesienia wykształcenia gospodarczego wśród gospodyń wiejskich. I to zadanie podjęło z wielką energią i pożytkiem Towarzystwo kółek rolniczych, które przy pomocy ludzi dobrej woli, nauczycielstwa i powiatowych swych organizacyi rozpoczęło uświadamianie gospodarcze naszych włościanek przez urządzanie dla nich kursów, na których mogłyby zaczerpnąć pewien zasób wiadomości z zakresu gospodarstwa domowego i kobiecego.

W ubiegłym miesiącu odbył się taki kurs staraniem Zarządu Głównego kółek rolniczych w Odrzykoniu w powiecie Krośnieńskim. Zakończenie kursu, który okazał się bardzo owocnym, obchodzono z wielką uroczystością, w której wzięli udział dr. Br. Dulęba, pp. Stawiarscy, p. Starowiejska, liczny zastęp księży i obywatelstwa z okolicznych miejscowości. Głównym momentem uroczystości był popis teoretyczny i praktyczny uczestniczek kursu, który wypadł doskonale.

Jako trwała pamiątka po odbytym kursie zawiązany został w Odrzykoniu „oddział kobiet kółka rolniczego“, który pracę przez kurs zapoczątkowaną dalej będzie prowadził.

Walka o dziedzictwo „żółtego smoka“.

Chiny stanęły znów wobec widma pożogi wojennej... Zdawało się, że zrodzony w morzu krwi przewrót w państwie „żółtego smoka“ zakończy się pokojowo: dobrowolną abdykacyą panującej dynastyi mandżurskiej. Wszystko już było postanowione. Zastraszona potęgą rewolucyi republikańskiej i przekonana o bezskuteczności dalszego oporu przez swego doradcę Juanszikaja, dynastya mandżurska miała nie tylko abdykować, ale i proklamować republikę chińską. Wszystko już było ułożone i targowano się tylko z przedstawicielami republiki o wysokość apanaży dla członków rodziny cesarskiej i odszkodowanie dla szlachty mandżurskiej. W ostatniej chwili jednakże, w przededniu ogłoszenia edyktu abdykacyjnego, wśród członków domu panującego zaszedł nagły zwrot... Młodzi książęta mandżurscy, usposobieni bardziej wojowniczo, postanowili jeszcze raz spróbować szczęścia w walce.. Ryzykowna ich decyzya zwyciężyła. Juanszikaj, który miał być prezydentem republiki chińskiej, utracił znów łaski dworu jako zbyt oddany republikanom, a książęta mandżurscy i ich nieliczni zwolennicy postanowili dalej walczyć z republikańską rewolucyą... Postawili wszystko na jedną kartę — dla bardzo wątpliwych szans zwycięstwa... Długotrwające bowiem zawieszenie broni pozwoliło rewolucyonistom zebrać swe siły i stworzyć doskonale funkcyonującą organizacyę republikańską, która ogarnęła prawie cały obszar państwa z wyjątkiem dwóch prowincyi północnych... Aby trzymająca się cudem w Pekinie dynastya mandżurska zdołała stłumić rewolucyę, a właściwie zdobyć na nowo republikańskie prowincye Chin, jest rzeczą wprost nieprawdopodobną.



Z wojny włosko-tureckiej: Misyonarz włoski na pokładzie okrętu szpitalnego „Memfi“.

W każdym jednak razie opór Mandżurów sprowadzi nową pożogę wojny domowej w Chinach. Stają do ostatniej, decydującej walki dwie wrogie siły: dynastya mandżurska, pragnąca utrzymać olbrzymie, skostniałe w chińskim konserwatyźmie państwo w dawnej niewoli i nowe, dążące do postępu europejskiego Chiny...

Przeciwieństwo tych dwóch wrogich i wzajemnie wykluczających się potęg widzimy na naszych illustracyach. Jedna z nich przedstawia garstkę książąt mandżurskich i ich zausznіków, która za wszelką cenę chce utrzymać swe przywileje, na innej widzimy najwybitniejszego przedstawiciela tych refor-

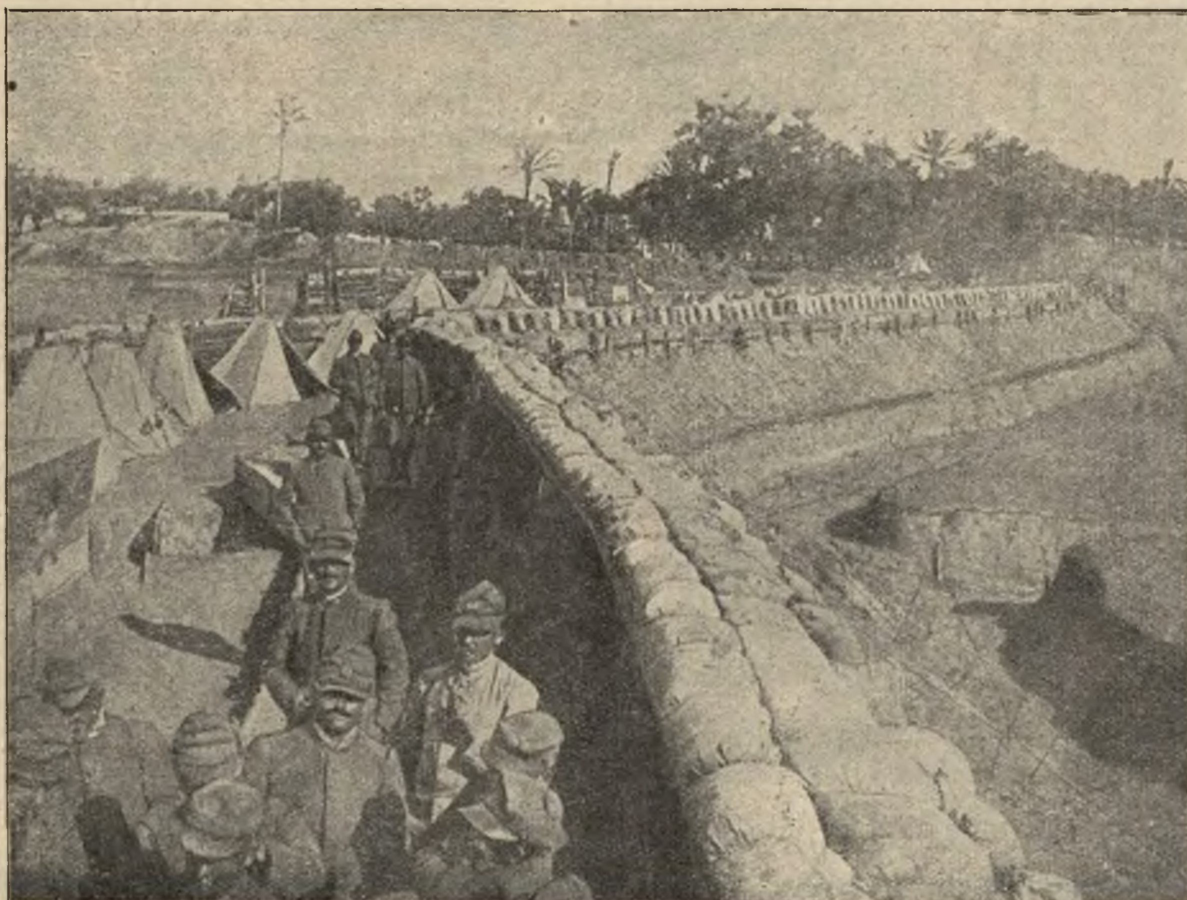


Z wojny włosko-tureckiej: Płoty z drutu kolczastego i wilcze doły, broniące przystępu do pozycyi włoskich pod Ain-Zara.



Walka o dziedzictwo „żółtego smoka“: Czang, prezes chińskiego komitetu rewolucyjnego w Paryżu, wybrany obecnie pierwszym sekretarzem republiki chińskiej.

matorskich prądów, które zburzyły mur chińskiej ciemnoty — zeuropeizowanego prezesa chińskiego komitetu rewolucyjnego w Paryżu, a obecnie pierwszego sekretarza republiki chińskiej.



Z wojny włosko-tureckiej: Szańce włoskie w oazie Ain-Zara pod Trypolisem.

Weterani 63 roku we Lwowie.

W dniu 23 stycznia odbyło się w sali ratuszowej we Lwowie walne zgromadzenie Stowarzyszenia weteranów r. 1863. Prezes p. Biechoński, zagajając obrady, podniósł usiłowania Komitetu obywatelskiego, który zamierza wezwać społeczeństwo do opieki materyalnej nad weteranami, skutkiem bowiem przeciążenia ofiarności publicznej, zmniejszyła się ofiarność społeczeństwa na cele Towarzystwa. Według odczytanego sprawozdania rachunkowego, zapomogi dla członków wyniosły w roku ubiegłym 23 096 koron, ale była to suma niewystarczająca. Wydział Towarzystwa, skutkiem braku funduszów, w roku ubiegłym nie mógł przyjść członkom z taką pomocą, jakiej potrzebowali.

Po wyczerpaniu porządku dziennego, dokonano wyborów. Na prezesa powołano p. W. Biechońskiego, na zastępcę p. Ign. Drewnowskiego. Do wydziału weszli: Izydor Karlsbad, Włodzimierz Malczewski, Leopold Maziuk, Ignacy Kinel i Stanisław Chłopicki.

Zgromadzenie zakończyło się tradycyjnem zebraniem towarzyskiem członków Towarzystwa.

Z wojny włosko-tureckiej.

Dotychczasowe zapowiedzi włoskie o podjęciu energicznej ofenzywy i wyprawie w głąb Trypolisu wciąż pozostają w sferze... projektów. Zaciadły opór Turków i Arabów utrudnia kolumnom włoskim posuwanie się w głąb kraju, zwłaszcza, że oddalając się od brzegu, wojska włoskie są pozbawione ochrony dalekonośnych dział okrętowych. Muszą więc, posuwając się na południe, umacniać swe pozycye i tworzyć dobrze ufortyfikowane stacye etapowe, które w przyszłości mogłyby chronić tyły armi lądowej przed nagłym atakiem Turków lub Arabów.

Kluczem niejako pozycyi włoskich, najbardziej wysuniętym w głąb kraju, jest oaza Ain-Zara. Miała ona stanowić punkt wyjścia do lądowych operacyi armii włoskiej. Została też wobec tego przez Włochów odpowiednio oszańcowana. Poza wałami z ziemi i worków, poza redutami i rowami strzelniczymi, którymi otoczono oazę, pozycyę włoskie umocniono płotami z drutu kolczastego i wilczymi dołami.

Fortyfikowanie w ten sposób pozycyi po raz pierwszy znalazło zastosowanie w wojnie rosyjsko-japońskiej. Rosyanie otaczali swe pozycye drutem kolczastym i wilczymi dołami, a Japończycy zdobywali je z nadludzkiem wprost bohaterstwem. W każdym takim dole sterczy bowiem na dnie ostro zakończony pal, na który wpadający musi się nabić. Japończycy zdobywali też wilcze doły dopiero po zapełnieniu ich własnymi trupami.

Włosi z jednej strony przygotowują się w ten sposób do energicznej akcyi celem przełamania oporu Turków i Arabów, z drugiej zaś strony w zdobytej już części Trypolisu prowadzą pracę kulturalną, aby pozyskać tubylców. Rozwinęli również działalność i w dziedzinie religijnej. Na pokładzie statku szpitalnego „Manfi" przebywa zakonnik Massarelli, który prowadzi pracę misyjną wśród rannych i wśród krajowców.



Weterani 63 roku we Lwowie: Grupa uczestników walnego zgromadzenia weteranów w sali ratusza lwowskiego: 1 Br. Dulęba, 2. W. Biechoński, prezes Tow. 3. Ig. Drewnowski, zastępca prezesa, 4. J. Biechoński, 5. Bratkowski, 6. Miniewski, 7. Szyszkowski, 8. Karlsbad, 9. Czaplicki.

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacya z angielskiego.

21)

— Słowem, w sam raz dobrego wzrostu.

— Ależ tak niezawodnie, w sam raz właściwego dla kobiety wzrostu.

Tom, nie zważając wcale na moją odpowiedź, perorował uniesiony własnemi myślami.

— Nienawidzę wszystkich waszych: Gryzeld, Higenii, Maryanny... Bohaterkami dla mnie: Semiramida, Dydona, Joanna...

— Kochany Tom, przypuszczam, że chyba nie wszystkie razem.

— Ba! tak zachwycony i obałamucony jesteś własnym wyborem, że pogardzasz tem, co się z nim różni. Powtarzam ci jednak, że kobieta powinna uosabiać w sobie królewskość i majestat; powinna poruszać się jak królowa i przemawiać jak bogini. Śmiejesz się, bo nie widziałeś nigdy podobnej. Przymykasz oczy i odchodząc mruczysz sobie pod nosem: „Podobna kobieta nie istnieje“. Ależ na Boga, Kasprze! Gdybyś mógł ją ujrzeć, choćby raz tylko...

Wtem zatrzymał się i zaczerwienił jak dziecko.

— Jedź dalej! — zawołałem. — Kogoż to mam widzieć?

Rumieniec na twarzy Tomasza bawił mnie niewymownie.

— Pannę Lambert, naprzykład. Chciałem powiedzieć...

— Któż jest ta Lambert?

— Jakto? Nie słyszałeś o Klaryssie Lambert, najsłynniejszej i najznakomitszej aktorce w Londynie?

— Nic nigdy nie słyszałem. Czy grywa w Koloseum?

— Ma się rozumieć. Objęła rolę Franceski. Och, Kasprze! Powinieneś ją zobaczyć. Jest boska!

Tym razem twarz Tomasza zaczerwieniła się znowu po samo czoło.

— Więc ty — rzekłem. po krótkiej chwili milczenia — zakochałeś się na zabój w owej Klaryssie Lambert.

Tom zdawał się strasznie pomieszany.

— Czy przynajmniej pewny jesteś jej wzajemności? Czy podziela twoją namiętność?

— Kasprze! — krzyknął — nie udawaj bydlęcia i nie pleć głupstw!... Nie ośmieliłem się ani jednem słówkiem wspomnieć jej o mojem uczuciu. Ona zaledwie mnie poznaje na próbach; parę razy tylko mówiła ze mną o rzeczach najpowszedniejszych, nie posiadających żadnego znaczenia. Jakżebym mógł, ja nędzny autor, nie cieszący się dotąd ani sławą, ani rozgłosem, mówić z nią o tem, co ukrywam w głębi serca?... Kasprze, czy podoba ci się imię Klaryssa?

— Dosyć! Nie tyle jednak co Klara.

— Och! Klara, przy innych kobiecych imionach brzmi niebrzydko, czy podobna jednak porównać ją z Klaryssą! Zastanów się sam dobrze, a zauważysz jaki wdzięk i lekkość daje wyrazowi samo zakończenie. Wieje zeń tchnienie osiemnastego wieku. Dla mnie imię to jest wspaniałe, zarazem słodkie i dumne, cześć nakazujące...

— A w tragicznym, białym wierszu, doskonale miarą zastępuje Franceskę?

Wyraz twarzy Tomasza wskazywał, że myśl jego odgadłem.

— Powinienbyś ją zobaczyć Kasprze... Ach! Widzieć tylko jej oczy!... Jakiego koloru są oczy Klary?

— Zielone.

— Źrenice Klaryssy są brunatno orzechowe. Wolę w oczach barwę ciemną! Zawsze myślałem, że kobieta powinna mieć ciemne oczy. Nie chcę sprzeczać się z tobą o parę cali wyższego lub niższego wzrostu, lecz zgodzisz się chyba, że co do oczu mam bezwzględną słuszność.

— Broń Boże!

— Zadziwiającem jest w istocie — rzekł Tom — do jakiego stopnia prosty i bądź co bądź zupełnie naturalny fakt zakochania się w kobiecie, może zepsuć dobry smak mężczyzny... Lecz mniejsza o to! Przejdźmy teraz do głosu. Założyłbym się, że twoja Klara mówi słodko i muzykalnie...

— Jak harfa eolska — odparłem.

I powiedziałem szczerą prawdę.

— Ma się rozumieć! Byłem tego pewny. Musi to być nieco głucha i stłumiona słodycz dźwięku, nie mogąca wznieść się do wysokich tonów. Chciałbym, żebyś słyszał Klaryssę... nie więcej, jak raz jeden przynajmniej! Słuchając, uczułbyś niezawodnie, jak brzmienie jej głosu wdziera się niemal gwałtem do serca. Och, Kasprze, Kasprze! głos jej wstrząsa i zarazem wzrusza do głębi!

Choroba Tomasza — jeśli miłość godzi się nazwać chorobą — rozwinęła się widocznie do najwyższego stopnia. Nie śmiałem więc i nie chciałem odwzajemniać mu się docinkami i żartami, jakiemi zasypywał mnie przed miesiącem. Rzekłem doń zatem z szczerą serdecznością:

— Kochany Tomaszu, rzecz postanowiona, zobaczę bóstwo twoje w listopadzie. Nie przyrzekam ci, że wywrze na mnie to samo wrażenie, jakiem sam czujesz się przejęty, lecz cieszę się całą duszą, że Francesca grana będzie przyzwoicie. A przytem wielką radość sprawia mi myśl, że miłość cię uszczęśliwi. Pewny jestem, że wkrótce czuć się będziesz stokroć szczęśliwszy, niż kiedykolwiek dotąd.

— Miłość moja, to miłość bez nadziei, bez odrobiny nadziei. Ona jest zimna, jak lód!

— Przy tym głosie, o którym mówiłeś... i z temi oczami, które tak pięknie odmalowałeś w swojem opowiadaniu? Nie pleć głupstw, mój Tomku!

— Jak lód zimna, powtarzam — jęknął Tomasz — mówią to wszyscy.

— Naturalnie! Wszyscy to mówią, więc powinieneś się się tem cieszyć, bo to jest fakt jedyny, o którym, jeśli mówią wszyscy, nie należy weń wierzyć wcale, z natury rzeczy bowiem musi być fałszem. Słuchaj mnie, stary! Wtedy tylko miałbyś prawo wątpić i rozpaczać, gdyby starała się podobać całemu światu. Tem lepiej dla ciebie, jeśli nie sprzyja nikomu!

. . . .

Położenie i usposobienie Tomasza wydało mi się jednak tak smutne, że postanowiłem za pierwszem widzeniem się z Klarą, pomówić z nią o nim.

— Klaro — rzekłem do niej — wspominałem ci już nieraz o Tomie, moim druhu i towarzyszu lat dziecinnych...

— W rzeczy samej — odpowiedziała — tylko o nim mówisz zwykle. Wielka twoja dla niego życzliwość, może wzbudzić zazdrość we mnie.

— Tom jest zacny i dobrym chłopcem, a opowiadam ci o nim często, bo to mój jedyny przyjaciel. Trzeba, żebyś go poznała Klaro. Ręczę, że go polubisz. Ma wielki talent.

— Jakże się zowie ten geniusz? Jakie nosi nazwisko?

— Loveday... Tomasz Loveday. Czy niewymieniałem go, mówiąc o nim z tobą?

— Nigdy! — odparła namyślając się Klara — Loveday... Tomasz Loveday. Czy to jest bardzo rozpowszechnione nazwisko? Czy nosi je wiele osób w Anglii?

— Wątpię bardzo. Prawie pewny jestem, że nie. Czy ci się nie podoba?

— Owszem... Dlaczegóżby nie miało mi się podobać?

— Otóż wiedzisz, chciałem ci właśnie powiedzieć, że Tom zakochał się... Nie widziałem w życiu mojem człowieka bardziej zakochanego!

— O!

— Ma się rozumieć, wyłaczam siebie, bo sama wiesz najlepiej, jak bardzo cię kocham.

— Do rzeczy! Mówimy tylko o Tomaszu Loveday.

— Tak, tak, o moim Tomie. Więc Tom... pewno nie wiesz... napisał tragedyę...

— Opiewającą miłość?

— Niekoniecznie... przynajmniej nie cała... chociaż w istocie zajmuje w niej ona poważne miejsce, zwłaszcza, jeśli się zważy, że sztuka napisana była w czasie, gdy autor nie miał pojęcia o miłości. Ale nie o to chodzi. Tragedya ma być przedstawiona w listopadzie na scenie teatru Koloseum... Co ci jest, Klaro? Czy ci co dolega?

— Nie, nie!... proszę, mów dalej. Co to wszystko może mieć wspólnego z miłością Tomasza?

— Zaraz powiem. Tom, ma się rozumieć, chodzi na wszystkiego próby. Jest strasznie rozdenerwowany, więc nie chce, abym mu towarzyszył, dopóki sztuka nie będzie umiana doskonale. Mam ją ujrzeć dopiero na pierwszem przedstawieniu. Otóż, jak już powiedziałem, Tom bywa na wszystkich próbach i na nich właśnie zakochał się... Zgadnij w kim?

Bez żadnej wątpliwości Klara bladła coraz bardziej.

— W artystce, grającej główną rolę — ciągnąłem dalej — w Klaryssie Lambert. Wszakże tak zowie się primadonna teatru?

— Klaryssa... Lambert!

— Klaro, Klaro! Co ci jest? — zawołałem.

Ukochana moja zbladła śmiertelnie i zdawała się bliska omdlenia.

Chociaż liście już pożółkły na drzewach, a kos przestał śpiewać oddawna, znajdowaliśmy się w miejscowości zwykłych naszych niedzielnych przechadzek.

Przerażony, objąłem ją w pół ramieniem, lecz Klara wysunęła się szybko z mego objęcia, zapanowała nad widocznem rozdrażnieniem i rzekła:

— Nie, nie! już mi lepiej... to było tylko chwilowe osłabienie... i zmęczenie. Więc mów, proszę.

— Nie chcę cię utrudzać dłużej... jesteś znużona parogodzinym spacerem. Zresztą, powiedziałem już wszystko... Czy znasz Klaryssę Lambert? Czy ją kiedy widziałaś?

— Tak... widziałam...

— Cieszy się podobno sławą i wielkim rozgłosem, przynajmniej tak Tom utrzymuje. Twierdzi, że jest boską... Lecz ja sądzę, z tego co mi mówił o niej, że to musi być zwykły typ teatralny tragicznej królowej... prawdopodobnie wysoka, tęga, o niskim, donośnie brzmiącym głosie...

— Czy ci to powiedział?

— Nie!... Naturalnie, Tom bredzi, mówiąc o niej. Opisu postaci, malowanej barwnemi słowami zakochanego poety, nie można przecież brać w dosłownem znaczeniu!

Wygłosiłem powyższe zdanie z niezachwianą pewnością siebie. Wszakże byłem uznanym i przyjętym narzeczonym, mniemałem zatem, że mam prawo traktować z góry wszystkich zakochanych.

— Ty ją jednak widziałaś — dodałem — więc prawdopodobnie mi powiesz, jak wygląda w rzeczywistości. Wyobrażam sobie, że musi być podobna do wielu innych aktorek, nieprawdaż?

— Kasprze — rzekła Klara głosem słodkim po krótkiej chwili milczenia — czy kiedy niekiedy bywasz w teatrze?

— Bardzo rzadko. Od czasu jak bawię w Londynie, zdaje mi się, że nie byłem więcej jak dwa razy.

— Przypuszczam, że w czasach twego dzieciństwa, musiano wpajać w ciebie pogardę dla teatru?

— Och! — odparłem, uśmiechając się dobrodusznie — wątpię bardzo, aby wuj Loveday pochwalił wybór Tomasza, bo prawdopodobnie o to ci chodzi, lecz sąd jego obecnie nie ma żadnego znaczenia, poczciwy bowiem wujaszek nie żyje, a Tom uważa uczucie swoje za miłość beznadziejną. Ubóstwia Klaryssę, lecz z daleka. Twierdzi, że jest zimna, jak posąg wykuty z lodu. Nie wyznał jej dotąd swojej miłości, ukrywa ją przed nią...

— Nie to chciałam powiedzieć. Czy mniemasz, że wszyscy aktorowie i wszystkie aktorki godne są pogardy?

— Broń Boże! Dlaczego miałbym tak mniemać?

— Więc pójdziesz na przedstawienie...?

— „Franceski“? — podchwyciłem. — Najniezawodniej, na pierwsze przedstawienie...

— W takim razie spotkamy się na niem. Czy zechcesz mnie widzieć?

— Przyjdę po ciebie, aby cię zaprowadzić do teatru. O, jakże się cieszę! Poznasz Toma i mam nadzieję, że będziesz mu mogła powinszować sukcesu. Wszakże pozwolisz mi przyjść po siebie?

Zaprzeczyła poruszeniem głosy.

— Nie, nie!

— Dlaczego?

— Bo nie mogłabym... chciej wierzyć, że nie mogłabym. Będę cię widzieć i ty mnie zobaczysz. Czy to nie dosyć?

— Jeśli sądzisz, że nie może być inaczej, wola twoja jest dla mnie świętą i zawsze spełnioną być musi — odparłem bardzo zasmucony — ale...

— Niema tymczasem żadnego „ale“, mój drogi — rzekła głosem stanowczym. — Już późno... trzeba wracać do domu.

Wracaliśmy do Streatley pogrążeni w dziwnem milczeniu.

Twarzyczka Klary nie odzyskała zwykłych kolorów. Wpatrywałem się w nią, zachwycony jak zawsze uroczą pięknością jej rysów. Myślałem sobie: jakże prawdopodobnie wyglądałaby przy niej marnie bohaterka tragedyi Tomasza?

Szalony byłem i zaślepiony!

— Kasprze, czy sądzisz, że mógłbyś przestać mnie kochać?

— Jak możesz zadawać mi podobne pytanie?

— Czy jesteś swej miłości bezwzględnie pewny? Czy przypominasz sobie, co o tem mówiła do ciebie moja matka?

— Klaro, miłość jest tak mocna jak śmierć. Wszakże tekst święty powiada: Wody ziemskie nie są w stanie pochłonąć miłości, ani potoki jej utopić; człowiek zaś, któryby zapragnął kupić miłość za cenę wszystkich bogactw swego domu, zostałby odepchnięty z oburzeniem“. Klaro, do słów tych należy przywiązywać wiarę!

— Mocna jak śmierć! — szepnęła. — Tak, wierzę w te słodkie słowa.

Łódka nasza przybiła do brzegu. Wysiedliśmy z niej wzruszeni. W chwili rozstania rzekła do mnie raz jeszcze Klara:

— Kasprze, czy nie masz żadnej wątpliwości co do znaczenia mego zapytania i swego zapewnienia? Czy miłość twoja jest rzeczywiście mocną jak śmierć?

Zamiast odpowiedzi przycisnąłem ją do mego serca.

Szalony i zaślepiony! Zaślepiony i szalony!

. . . .

Nadszedł wieczór rozstrzygnąć mający o losie Toma.

Gdyśmy weszli do teatru, sala Coloseum była przepełniona. Tomasz, przez skromność, nie przyjął loży, ofiarowanej przez dyrekcyę, a zamówił dla nas dwa bliskie sceny fotele pod parterowemi lożami. Udał się za kulisy, zapewniwszy mnie, że powróci na pięć minut przed podniesieniem zasłony, miałem więc czas przyjrzeć się widowni należycie i oczekiwać na znak porozumienia, jakiego spodziewałem się ze strony Klary.

Staranność, z jaką przygotowano wystawienie sztuki, i anonsowe o niej reklamy nie pozostały bez rezultatu. Ponieważ rzadko kiedy bywałem w teatrze, więc tłumne zgromadzenie publiczności, gorąco i nadmiar światła wprawiły mnie w stan podniecenia. Pełen niepokoju o sukces sztuki Tomasza, oraz słodko wzruszony nadzieją spotkania się z Klarą, nie zdawałem sobie sprawy w pierwszej chwili ani z całości, ani ze szczegółów widoku, jaki przedstawił się moim oczom. Powoli jednakże, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, zacząłem się rozglądać i przypatrywać pilnie widzom, ażeby wśród nich wyszukać moją ukochaną.

Byłem pewny, że zdołam ją wyróżnić choćby w najgęstszym tłoku, nie dostrzegłem jej jednakże po pierwszem, rzuconem w okół spojrzeniu. Wytężyłem wzrok i badałem postać po postaci, twarz po twarzy, lecz niestety znowu bez powodzenia. Z miejsca, na którem siedziałem, mogłem doskonale widzieć wszystko, prócz wgłębionej przed proscenium orkiestry, lóż pierwszego i drugiego piętra, wznoszących się wprost nademną, oraz galeryi. Orkiestrę i galeryę wyłączyłem odrazu z pod mojej obserwacyi, wiedziałem bowiem, że ani w jednej, ani w drugiej znajdować się nie może, mogła jednak siedzieć w jednej z lóż nademną, więc postanowiłem po pierwszym akcie przejść na drugą stronę sali i stamtąd dokonać ostatecznego przeglądu.

Tymczasem patrzyłem na loże przeciwległe i parterowe. Było ich po dwanaście z każdego boku półkola i wszystkie zapełnione. Siedziały w nich nieznane mi, obce osoby. W jednej, najbliżej mnie położonej loży nie dostrzegłem nikogo, a jednak z przodu, olbrzymi, na wpół żółty i na wpół czarny wachlarz, chwiejący się wahadłowo tam i nazad, świadczył, że jest w niej ktoś, co go porusza.

Nie wiem, dlaczego ów ruch nieustanny, nie przerywający się ani na sekundę, obudził we mnie wielką ciekawość. Miotała nim machinalnie, bez żadnej zmiany w poruszeniach, niewidzialna jakaś ręka. Podniecało to w najwyższym stopniu moją wyobraźnię. Pragnąłem koniecznie zobaczyć właściciela, czy też właścicielkę wachlarza; naprożno jednak pochylałem się na prawo i lewo, dostrzedz nie mogłem nikogo.

Wtem nadszedł Tom i usiadł przy mnie na sąsiednim fotelu.

— Wszystko gotowe. Przedstawienie rozpocznie się za pięć minut — rzekł drżącym głosem, chociaż całą mocą woli starał się zapanować nad nerwowem jego drżeniem.

— Nie trać odwagi! — szepnąłem. — Bądź co bądź pochlebiać ci musi to liczne zebranie wykwintnej publiczności.

— Przeraża mnie. Co pocznę, jeśli sztuka zrobi klapę?!

Uwertura, wykonywana przez orkiertrę, dobiegała końca. Tomasz, z widocznym niepokojem obejrzał się po sali.

— Tak — powiedział — w rzeczy samej, wszystkie miejsca zajęte. Wszakże twoja Klara także podobno przyjść miała? Jeśli jest, pokaż mi ją, proszę.

— Miała przyjść, dotąd jednak jej nie spotrzegłem. Może się spóźniła.

— Lecz w takim razie, nie wiem, gdzie się usadowi... Lecz cicho! muzyka grać przestała.

Ostatnie akordy uwertury rozpływały się w smutnem jakiemś *pianissimo*, gdy zasłona podniosła się nad tragedyą „Francesca".

Sztuka wywołała w swoim czasie pewien rumor i pewien poważny rozgłos, tak ze względu na swą niezaprzeczoną wartość literacką, jak i z powodu różnych okoliczności, o których mówić będę w dalszym ciągu mego opowiadania. Dla tych jednak, którzy jej nie czytali, ani widzieli w Coloseum, podaję tu krótkie streszenie akcyi, które czytelnik znający „Franceskę", będzie mógł pominąć.

Francesca jest córką Sebastyana, niegdyś księcia Bolonii, zrzuconego obecnie z tronu i wygnanego z pałacu przez młodszego brata Karola. W chwili, gdy sztuka się rozpoczyna, Sebastyan dowodzi bandą



Przerażony objąłem ją w pół ramieniem.

rozbójników, składającą się z dawnych, wiernych mu partyzantów, których uprowadził z sobą, w niedostępne wąwozy Apeninów. Karol uzurpator, który przed szesnastu laty zawładnął księstwem, udaje się z synem swoim Walentym, liczącym lat dwadzieścia, w okolicie, w których chroni się i przebywa brat jego, przezeń skrzwdzony. Wyprzedziwszy strzegący ich konwój, zbłądzili. Walenty, podziwiając uroki italskiej przyrody, zatrzymuje się w dolinie, gdy tymczasem ojciec jego podąża na szczyt góry, na którym spotkać się mają po chwili. Nagle zjawia się Franceska. Walenty, zachwycony jej pięknością, zbliża się do niej, wdaje się z nią w rozmowę. Ona, pełna życzliwości dla nieznanego jej szlachetnego młodzieńca, ostrzega go o niebezpieczeństwie, jakie grozić mu może ze strony bandytów i namawia do spiesznego odejścia. Walenty oddala się i spostrzega trupa swego ojca na dnie głębokiej przepaści. Śmierć rodzica przypisuje wypadkowi, poleca więc nadciągającemu nareszcie konwojowi przeniesienie zwłok do Bolonii. Rozmiłowany namiętnie w Francesce, błaga ją, aby opuściła ojca i udała się z nim razem na dwór książęcy. Ona zgadza się, lecz wkrcóte zdradzona i opuszczona przez kochanka dla Julii, córki księcia Ferary, powraca zrospaczona w góry do ojca, otrzymuje jego przebaczenie i dowiaduje się, że śmierć Karola nie była dziełem przypadku. To Sebastyan pozbawił życia swego brata. Zaledwie dowiedziała się o tem, spostrzega Walentego i Julię, pochwyconych i przyprowadzonych przez rozbójników, którzy nie domyślają się, kim są ich dostojni jeńcy. Pozbawiony tronu książę Sebastyan nie poznaje również Walentego i każe go, wraz z Julią, zamknąć w podziemnej pieczarze pod strażą bandytów. Przyczem postanawia, że nazajutrz rano Walenty ma się udać po okup, pozostawi zaś żonę jako zakład. Franceska spaja straż i w nocy wchodzi do jaskini, daje się poznać uwięzionym, oświadczając, że przebierze się w suknie Julii, a ją przyodzieje w swoje, ażeby mąż z żoną mogli uciec czemprędzej. Po pięknej dramatycznej scenie wspaniałomyślnego poświęcenia, wahania z jednej strony, nalegań z drugiej, Franceska szlachetny swój zamiar doprowadza do skutku. Walenty i Julia, korzystając z ciemności nocnych, uciekają, Franceska zaś, pozostawszy sama, przebija się sztyletem. Sztuka kończy się w chwili, gdy stary książę wchodzi do pieczary i poznaje w martwych zwłokach ukochaną córkę".

Na pierwszem przedstawieniu tragedyi, scena wstępna (na dworze w Bolonii) przeszła bez wrażenia. Wśród ogólnej ciszy spadła po niej na chwilę zasłona, aby zaraz niemal podnieść się nad następującą, która rozgrywa się w górskiej dolinie.

Dotąd audytoryum wydawało mi się zupełnie chłodne. Nikt wprawdzie nie gwizdał, lecz nikt także ani razu nie klasnął w dłonie. Czułem — chociaż nie zdawałem sobie sprawy dla czego — że sztuka się nie podoba. Tom musiał odczuwać to również. Nie śmiałem spojrzeć na niego, lecz dolatujący mnie jeg krótki i urywany oddech świadczył o niepokoju, jakim był przejęty. Na szczęście, bolesne udręczenie nie trwało długo, zasłona bowiem podniosła się rychło nad sceną drugą.

Prześliczna dekoracya wywołała oklaski niemal całej publiczności. Zcichły one wraz z wejściem Karola i Walentego. Dyalog ich był krótki, poczem, opuszczony przez ojca Walenty wygłaszać zaczął niezmiernie długi monolog, który widocznie znudził słuchaczów. Posłyszałem w głębi sali ciche gwiźnięcie; ujrzałem w pierwszych rzędach foteli kilka osób ziewających.

Nagle...

Rozległ się cudny głos, z którym żaden inny nie mógł chyba być porównany; piękniejszy od wszelkiej melodyi, wymarzonej przez najsłynniejszych kompozytorów muzycznych i poetów. Zdawało się, że dolatuje ze sfer niebiańskich; łączył w sobie — w miarę jak przenikał przestrzeń, oddzielającą scenę od widzów — wszystkie czary i cały wdzięk najprzedziwniejszego brzmienia. Urokiem niezrównanej harmonii wdzierał się w głąb serca ludzkiego, budził w niem najszlachetniejszy zachwyt. Chwilami grzmiał potęgą niezwykłej siły; chwilami zaś, jak fala morska, dopływająca do brzegu, rozbryzgiwał się rzęsistym deszczem nut o srebrnym dźwięku.

Najniezawodniej znałem go, a jednak nie mogłem przypuszczać, aby to był...

Nie wiedziałem, czy śnię, czy szał mnie ogarnial...

Wszakże w nieprawdopodobieństwo wierzyć nie mogłem?!...

Cała widownia wypełniła się dla mnie czarnym cieniem; tłum twarzy i postaci widzów pograżył się w nim i rozpłynął jakby w jakimś niewypowiedzianie chmurnym chaosie, gdy tam... tam...

Tam... w migotliwych blaskach teatralnego oświetlenia, promienna i promieniejąca, cudowna, uwielbiona, istna królowa, zbliżała się na przód sceny w oczach pochłaniającej ją wzrokiem publiczności.. moja najdroższa, moja ukochana... moja Klara...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Degradacya proboszcza.

Z rozporządzenia władz administracyjnych, ks. Marceli Godlewski, dotychczasowy proboszcz parafii św. Marcina przy ul. Piwnej w Warszawie, zasłużony działacz społeczny, organizator kółek i spółek współdzielczych, został usunięty ze stanowiska parafialnego duszpasterza. Zmuszony do porzucenia swej pracy pasterskiej wśród parafian, ks. Godlew-



Degradacya proboszcza: Ks. Marceli Godlewski, dotychczasowy prob. parafii św. Marcina w Warszawie.

ski będzie miał możność z tem większem oddaniem poświęcić się wyłącznie pracy ekonomicznej i oświatowej wśród ludu, którą tak umiłował.

Pół miliona rubli na cele społeczne.

Jedno z pierwszych miejsc wśród miast, które słyną z ofiarności publicznej, zajmuje bezsprzecznie Warszawa. Każdy rok niemal przynosi krociowe ofiary, składane przez obywateli na rzecz dobra publicznego. powstają fundacye i instytucye filantropijne i naukowe, które odgrywają bardzo ważną rolę w duchowym rozwoju narodu.

W ubiegłym tygodniu znowu na własność społeczeństwa przeszły zbiory i fundacye wartości około pół miliona rubli, zapisane w testamencie przez znanego literata i bibliografa Leopolda Méyeta, który zmarł nagle na atak sercowy.

Urodzony w r. 1850 w Warszawie, po ukończeniu studyów zmarły poświęcił się zawodowi prawniczemu, lecz obok niego wstąpił także na drogę



Zgon zacnego obywatela: Ś. p. Eustachy Zagórski, b. poseł na Sejm i do Rady państwa.

działalności literackiej i naukowej. W r. 1872 założył czasopismo „Niwę", którego był przez długi czas współredaktorem. Specyalną uwagę poświęcił badaniom nad życiem Jul. Słowackiego, zbierając skrzętnie wszelkie dokumenty. Jako owoc swych pilnych w tym kierunku prac ogłosił dwa tomy Słowackiego „Listów do matki", oraz wspólnie ze znanym biografem Słowackiego i Chopina, Ferd. Hoesickiem, wydał utwory i pisma Słowackiego w starannem 5 tomowem opracowaniu.



Śmierć wybitnego polityka: Dr. Alfred Ebenhoch, b. minister, przywódca stronnictwa chrześcijańsko-socyalnego w Austryi.

W uznaniu jego zasług krakowska Akademia Umiejętności mianowała go członkiem komisyi literackiej, zaś w roku 1907 b. p. Méyet został członkiem warszawskiego Towarzystwa naukowego.

Zgon zaskoczył go nagle, w chwili, kiedy pracował nad sposobem trwałego uczczenia pamięci Elizy Orzeszkowej.

Nie posiadając bliższych krewnych, zmarły cały swój majątek ofiarował narodowi, przeznaczając go na cele narodowe, kulturalne i oświatowe.

Cenne swe zbiory, odnoszące się do Mickiewicza, Słowackiego, Kraszewskiego, Krasińskiego, dużą kolekcyę obrazów, starożytności polsko-żydowskich



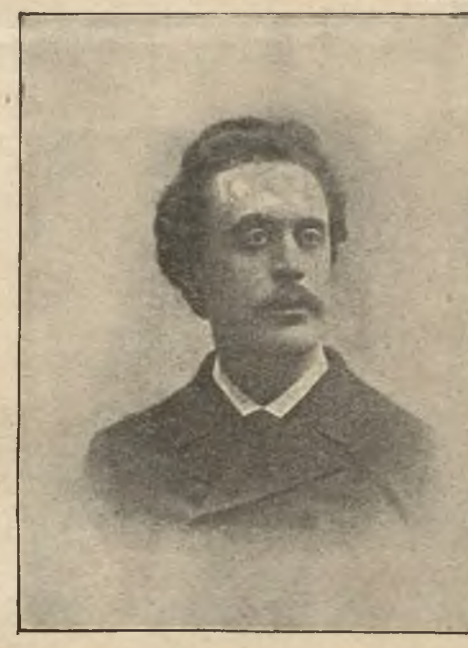
Z wojny włosko-tureckiej: Włoska artylerya górska w Trypolisie.

i „Starej Warszawy" przeznaczył miastu Warszawie na utworzenie Muzeum sztuk pięknych, gdyby zaś do 2 lat Muzeum to nie powstało, Muzeum narodowemu w Krakowie.

Zbiory książek i rękopisów ofiarował Ordynacyi hr. Krasińskich, zbiory pamiątek po Chopinie sekcyi Chopina przy Warszawskiem Towarzystwie muzycznem, zaś resztę majątku w nieruchomościach miastu Warszawie na otwieranie i wspomaganie szkół początkowych i rzemieślniczych polskich.

Fundacye te mają nosić imię fundatora.

Czynem swym patryotycznym b. p. Méyet zapisał się na trwałe w historyi narodu.



Pół miliona na cele społeczne: Leopold Méyet, literat i zbieracz pamiątek polskich, zmarły nagle dnia 27 stycznia w Warszawie.

Smierć wybitnego polityka.

Obóz chrześcijańsko-społeczny w Austryi stracił znowu jednego z najdzielniejszych swych polityków. Niedawno dopiero śmierć zabrała przywódcę i twórcę stronnictwa chrześcijańsko społecznego, ś. p. dra Luegera. Po nim spadek objęło czterech polityków, mianowicie dr. Weiskirchner, ks. Lichtenstein, dr. Ebenhoch i dr. Gessman. Oni ujęli ster spraw stronnictwa w swe ręce, a dr. Ebenhoch stanął na czele parlamentarnej reprezentacyi. Choroba i niesnaski partyjne spowodowały jednak, iż w jesieni 1911 r. dr. Ebenhoch usunął się z życia publicznego, we wtorek zaś 30 stycznia b. r. zakończył życie.

Dr. Alfred Ebenhoch, urodzony w r. 1855, ukończywszy studya prawnicze, szybko piął się w górę, odznaczając się wybitnemi zdolnościami politycznemi. Wszedłszy w r. 1888 do parlamentu austryackiego, a w rok potem do sejmu górno-austryackiego, pozostał w obu Izbach do końca życia. W r. 1907 wstąpił jako mąż zaufania do ministeryum bar. Becka i przez rok piastował tekę rolnictwa.

Kronika tygodniowa.

„Błogosławieni cierpliwi!...“ uczyli nas w domu i szkole, gdyśmy jeszcze byli młodzi i pokazuje się, że mieli racyę. Cierpliwością dokonuje się wielkich rzeczy, a najlepiej przekonali się o tem obywatele powiatu podgórskiego, którzy ponieśli materyalne szkody przy wybuchu prochowni we Woli Duchackiej. Działo się to wprawdzie w dniu 5 czerwca 1909, więc stosunkowo dość dawno, jeśli jednak ten okres czasu porównamy z takimże, potrzebnym do zrealizowania ustawy kanałowej (1901—1911), musimy przyznać, że sprawa odbyła dość szybko drogę pomiędzy Podgórzem, Lwowem i Wiedniem, ogromnie zabagnioną i wyboistą. Szczególniej w okolicy namiestnictwa lwowskiego domaga się ona gwałtownie regulacyi.

W zasadzie odszkodowanie przyznano, w jakiej jednak wysokości, o tem nie wiemy, notatkę bowiem dziennikarską „pełne odszkodowanie“, możemy sobie wytłumaczyć w dwojaki sposób. Może ono być „pełnem“ z punktu zapatrywania tych, którzy dotknięci byli katastrofą, może też być pełnem w zrozumieniu wojskowości, a za nią skarbu państwowego, który swojego czasu oświadczył, że nie poczuwa się wcale do obowiązku zwrotu strat, wynikłych z jakiejś *vis major*. Co najwyżej, mógłby dać z łaski jakieś tam odczepne, w każdym razie nie w tej wysokości, jak żądają poszkodowani.

Używając popularnego dziś wyrażenia, sprawę „wentylowano“ przez prawie cztery lata, doczekała się wreszcie epilogu i to, jak słyszałem, dopiero przy pomocy posłów krakowskich, którzy chcieli w ten sposób pokazać Podgórzanom, że jeśli zdecydują się na przyłączenie do Krakowa, mogą być pewni, że każdy wybuch prochowni skończy się dla nich pomyślnie. Czekano wprawdzie długo, doczekano się przecież, kto zaś tymczasem umarł, sam sobie musi przypisać winę, że odszkodowania nie otrzyma. Od czasu sankcyonowania ustawy kanałowej, *bis zum ersten Spatenstich*, czyli do rzekomego rozpoczęcia robót, upłynęło dziesięć lat, a jakoś nikt się temu nie dziwił, owszem, astronomowie, dążący do wprowadzenia dziesiętnego podziału czasu, proponują nawet, aby odtąd liczyło się na dziesięcioletnie okresy, które będą się w Galicyi zwały „kanaliadami“, na podobieństwo staro-greckich olimpiad. Jeżeli projekt ten się przyjmie, możemy n. p. za lat kilkanaście wyczytać w historyi powszechnej, że w pierwszym roku drugiej galicyjskiej kanaliady, krakowscy konserwatyści wylali ze swego grona posła Milewskiego, gdyż nie mogli tego przenieść po sobie, że śmiał pokazywać rogi jego ekscellencyi panu namiestnikowi, który ciałem i duszą należy do stronnictwa krakowskiego i posiada nawet od niego świadectwo politycznej moralności, opatrzone aż czterdziestu pięciu podpisami.

Zważywszy, że frondy i rozłamy są teraz na porządku dziennym, nie dziwimy się też wcale, że i bracia strzelcy, jak to zresztą już w poprzednim numerze wspomniałem, pokłócili się pomiędzy sobą i postanowili zmienić prezesa wydziału. Królowi natomiast najmiłościwiej panującemu dochowali zaprzysiężonej wierności, bojąc się, by abdykacya jego nie pociągnęła za sobą jakowychś przykrych konsekwencyi, które mogłyby wyprowadzić z równowagi europejską politykę.

I stało się, że w pierwszym roku drugiej kanaliady ustąpił, dzięki różnym intrygom, prezes Staniszewski, a miejsce jego zajął pan Jan Kanty Federowicz, radca miejski i poseł na sejm krajowy.

W tymże samym roku dowiedzieliśmy się, także z ogromnem zdziwieniem, że do budowy galicyjskich kanałów potrzeba koniecznie aż czeskich inżynierów. Tłumaczą to brakiem odpowiednich sił polskich, tymczasem, jak twierdzą wtajemniczeni, tak nie jest. Inżynierów Polaków, zajmujących się budowlami wodnemi jest spora liczba. W samej ekspozyturze dróg wodnych czeka pono kilkanaście ich podań na załatwienie. Wiedeńska dyrekcya wie jednak, że my przyjmujemy zupełnie obojętnie do zatwierdzającej wiadomości, że na jakieś stanowisko przysłano nam obcokrajowca. Niechby tak ministerstwo wysłało do Czech, już nie Niemca, ale Polaka, bracia z nad Wełtawy narobiliby tyle krzyku, że z pewnością przynajmniej jeden minister poszedłby w odstawkę.

To samo widzimy i w innych urzędach, choćbyśmy wspomnieli tylko np. o krakowskiej fabryce cygar, gdzie Czesi stanowią większość.

Nasi kandydaci do różnych urzędów ćwiczą się tymczasem w świętej cnocie cierpliwości, uczą się przestawać na małem i wyjmować własnymi palcami gorące kasztany z pieca, po to tylko, by je potem zjadł kto inny.

Ale ta nasza ustępliwość weszła już w przysłowie. Doszło do tego, że właściwie przestano się już z nami liczyć, gdyż każdy wie, że zgodzimy się na wszystko... Zgoda jest wprawdzie także bardzo piękną cnotą, chodzi jednak o to, by nie poszła za daleko, bo wówczas nie tylko pożytku nie przyniesie, ale owszem wyrządzić może dotkliwą szkodę.

Znając to usposobienie, liczą też Rusini, że potrafią nas zmusić, byśmy uwzględnili wszystkie ich wygórowane żądania w sprawie reformy wyborczej do sejmu galicyjskiego. Grożą obstrukcyą, w najgwałtowniejszem tego słowa znaczeniu, obiecują, że nawet nie cofną się przed gwałtem, jeśli nie otrzymają tylu mandatów, ile sobie naliczyli, a choć rząd centralny oświadczył im, że gwałtów nie ścierpi, ale odeprze je nawet siłą, nie bardzo w to wierzą, pamiętając o starej biurokratycznej dewizie *divide et impera*, tak u nas, w różnonarodowościowej Austryi popularnej.

W tym wypadku zgodliwość nie może i nie powinna być policzoną na karb naszej słabości, owszem, wskazana jest w dobrze zrozumianym interesie naszego narodu. Jak długo nie zapanują w Galicyi normalne stosunki, to jest, jak długo będzie rząd centralny kokietować obie walczące strony, a po cichu judzić jedną na drugą, tak długo nie można nawet myśleć o uporządkowaniu spraw krajowych i nabraniu tej siły, jaką mieć powinniśmy. Budujemy mosty do zgody, Wiedeń zakłada pod nie miny, bojąc się, aby przypadkiem Polacy i Rusini nie porozumieli się definitywnie, bo wówczas rząd centralny będzie mieć twardego orzecha do zgryzienia, a zęby ma już stare, na sprawienie zaś nowych brakuje stanowczo kredytu.

Dziwić się należy krótkowzroczności polityków ukraińskich, którzy swą polityką więcej wyrządzają ruskiemu narodowi szkody, niż przynoszą pożytku. W zgodnem współżyciu z Polakami, którzy nie odmawiają im przecież samodzielności narodowej, owszem na każdym kroku dopomagają ile możności do jej rozwoju, przyszłość ich okazuje się tem pewniejsza, że oparta na racyonalnej podstawie porozumienia z tymi, którzy najbliżsi im są krwią i pochodzeniem.

Polacy na sobotniem posiedzeniu sejmu krajowego dali dowód, że gotowi są do zgody i pewnych ustępstw, byle nie za daleko idących, żywią bowiem nadzieję, że przecież opadną łuski, które zaciemniają widok ukraińskim politykom na szersze horyzonty. Być może, że szowinistyczna prasa ruska poczyta ten krok za nowy dowód zachwiania się siły polskiej i objaw trwogi przed potęgą obstrukcyi, będzie jednak w błędzie, większość polska, zgadzając się na odroczenie posiedzenia sejmowego, w myśl żądania posłów ruskich, dała tem dowód ustępliwości, zarazem jednak politycznego taktu i rozwagi, która każe wyzyskać każdą sposobność, mogącą doprowadzić do porozumienia.

Biskup Czechowicz w czasie owego posiedzenia odczytał „zajawę“, w której zaznacza, że od dłuższego czasu toczą się rokowania między obu narodowościami i pozwalają mieć nadzieję, że uda się załatwić pomyślnie sprawę reformy wyborczej. Celem ułatwienia dalszych rokowań należy zamknąć posiedzenie.

Jest to pierwszy oficyalny głos ruski, wspominający o możliwości porozumienia, przyjęto go też sympatycznie, zwłaszcza, że nie wyszedł z ust jakiegoś borbifaxa, w guście Starucha, któremu chodzi tylko to, aby o nim mówiono i pisano, jako o „heroju“. Odezwał się poważny członek ruskiego społeczeństwa, a tak, jak on myślących, jest między Rusinami dość, kto wie, czy nawet nie więcej, niż owych muzykalnych obstrukcyonistów. Boją się jednak zamanifestowania publicznie swych uczuć, by nie ściągnąć na się ze strony szowinistów zarzutu, że są zdrajcami sprawy narodowej.

Imieniem większości polskiej przemówił prezes Koła polskiego, Biliński i wyraził przekonanie, że rokowania, przy obustronnem okazaniu dobrej woli, wygodą łatwo doprowadzić do porozumienia, a Polacy będą szczęśliwi, jeśli „tamta strona“ dojście do zgody umożliwi.

Olbrzymia większość oświadczyła się za wnioskiem, tylko część narodowej demokracyi i grupa Podolaków opuściła salę w czasie głosowania. Marszałek zamknął wobec tego posiedzenie, a następne naznaczył na dzień 3 lutego.

Cały tydzień prowadzić się też będzie rokowania pomiędzy prezydyami klubów polskich i ruskich. Rozpoczęto je napowrót w sobotę, a najbliższe już dni okażą, czy o owej „dobrej woli“ ukraińców można mówić i czy oni wogóle są dość dojrzali do poważnego traktowania.

Jeśliby nadzieje i teraz zawiodły, Polacy powinni obrać inną drogę i — w poczuciu spełnienia obowiązku ze swej strony — okazać energię, na której nam przecie chyba nie zbywa.

Trzeba jednak uzbroić się w pewną dozę cierpliwości, sprawy tak ważnej od jednego zamachu się nie załatwi, zwłaszcza, że i pomiędzy Rusinami jest niewiele mniej stronnictw, co i pomiędzy Polakami. Pogodzić się i zapchać gębę jednym, tem bardziej będą ją rozdziawiać drudzy.

Taki sam kłopot, jak Galicya ze sprawą ruską, ma Austrya z polityką zewnętrzną i jej kierownikiem. W ostatnich dwu tygodniach rozpoczęła się na niego formalna nagonka, ogłoszono, że jest już stary i schorzały i nie potrafi kierować sprawami państwa. Inny odłam prasy twierdzi natomiast, że jest on w posiadaniu pełni sił umysłowych i fizycznych, że posiada niespożytą energię i tylko on sam może być sternikiem nawy państwowej w tych burzliwych czasach.

Raz wysyła się go na pensyę, to znów na urlop, nie brak zaś i takich mędrców, którzy utrzymują, że austryacka polityka dopiero wówczas pójdzie właściwą drogą, gdy ją wezmą w ręce wojskowi, prawdopodobnie minister wojny i szef sztabu jeneralnego.

Zważywszy wszystkie *pro* i *contra*, byłbym wogóle stanowczym zwolennikiem zniesienia stanowiska ministra spraw zagranicznych, nie ze zazdrości jednak, iż nie potrafię go nigdy osiągnąć, ale z tego powodu, że Austrya politykę swą wzoruje ściśle na wskazówkach, idących z Berlina, obejdzie się więc bez odpowiedzialnego jej kierownika, który i tak nie może mieć swojego własnego zdania.

Następnie przyznać trzeba, że Austrya wogóle nie posiada dyplomatów, w całem tego słowa znaczeniu, a to z tego powodu, iż przy obsadzaniu najważniejszych posterunków nie uważa się nigdy na zdolność kandydatów, ale na ich majątek, czy potrafią godnie reprezentować monarchię i urządzać przyjęcia i bale. Jest to gałąź służby państwowej przeznaczona wyłącznie dla arystokracyi i to bogatej.

Sytuacya natomiast jest prawie krytyczna. Z powodu niewolniczego trzymania się za fartuszek Germanii, Austrya nie posiada miru nigdzie za granicą, jak się zresztą mogła o tem przekonać przy staraniu się o pożyczkę. I w Londynie i w Paryżu powiedziano:

— Macie przecież przyjaciół w Berlinie, tam się zwróćcie...

A krucha to przyjaźń, bo egoistyczna! Prusy każdej chwili gotowe Austryę „puścić kantem“, jeśli tego będzie wymagał ich interes. Wreszcie nieraz się już tak działo, że wystrychnęły ją na dudka, a potem tłumaczyły, iż zmuszone były do tego racyą stanu. A ona, poczciwota, wierzyła i dalej się im wysługiwała, interweniowała, demonstrowała, godziła, pożyczała po cichu monety, trzymała dzieci do chrztu i t. d.

Dziś stroskana o losy Germanii-przyjaciółki, zwłaszcza, że przepowiednie pani de Thèbes jakoś zgadzają się z wróżbami owej cyganki z r. 1848, która zapowiedziała koniec dynastyi Hohenzollernów na rok 1913.

Czyżby przygrywką do tego miało być zwycięstwo niemieckich socyalistów przy wyborach do parlamentu Rzeszy?... Oni coś nie na żarty zaczynają wspominać o niemieckiej republice!...

Dramat miłosny w Tarnowie.

Jakaś straszna epidemia erotycznych morderstw i samobójstw zapanowała obecnie w naszem społe-



Dramat miłosny w Tarnowie: Ś. p. Stefania Świątkówna.

czeństwie... Coraz częściej, nie tylko w większych miastach, ale i na prowincyi, rozgrywają się dramaty miłosne, których ofiarą padają życia młode... Widownią takiego dramatu był znowu Tarnów.

Od kilku lat utrzymywał tam stosunek miłosny Stefan Skorupka, z zawodu ślusarz, który jednak chciał przerzucić się do zawodu nauczycielskiego, młodzieniec zaledwie 21 lat liczący, z 17 letnią Stefanią Swiątkówną, zajętą w fabryce Dudzińskiego. Młody wiek obojga narzeczonych i niechęć ze strony rodziców stały jednak na przeszkodzie do zawarcia związku małżeńskiego. To stało się powodem tragedyi, która rozegrała się w domu Skorupki. Gdy przybyła tam zaalarmowana policya, zastała już zastygające zwłoki Swiątkówny, a Skorupkę broczącego we krwi, z ranami postrzałowemi w okolicy brzucha. Rannego przewieziono do szpitala, a stąd po kilku dniach do więzienia.

Skorupka tłómaczy się, że ś. p. Swiątkówna sama się zastrzeliła, ale dochodzenia śledcze wykazały, że samobójstwo ś. p. Swiątkówny jest wykluczone.

Hymen na scenie.

Karnawał, który zawsze pochłania tyle ofiar... hymenu, w tym roku wtargnął zwycięsko i na scenę, kojarząc węzłem małżeńskim cenioną śpiewaczkę opery warszawskiej, p. Maryę Wohlównę, z p. Mikołajem Lewickim, reżyserem tejże opery. Oorzęd zaślubin odbył się w ubiegłym tygodniu w Warszawie w kościele po-reformackim.

Z okazyi tej podajemy podobiznę pana młodego, zaznaczając, że portret oblubienicy, p. Wohlówny, zamieściliśmy w „Nowościach Illustrowanych“ przed kilku tygodniami.



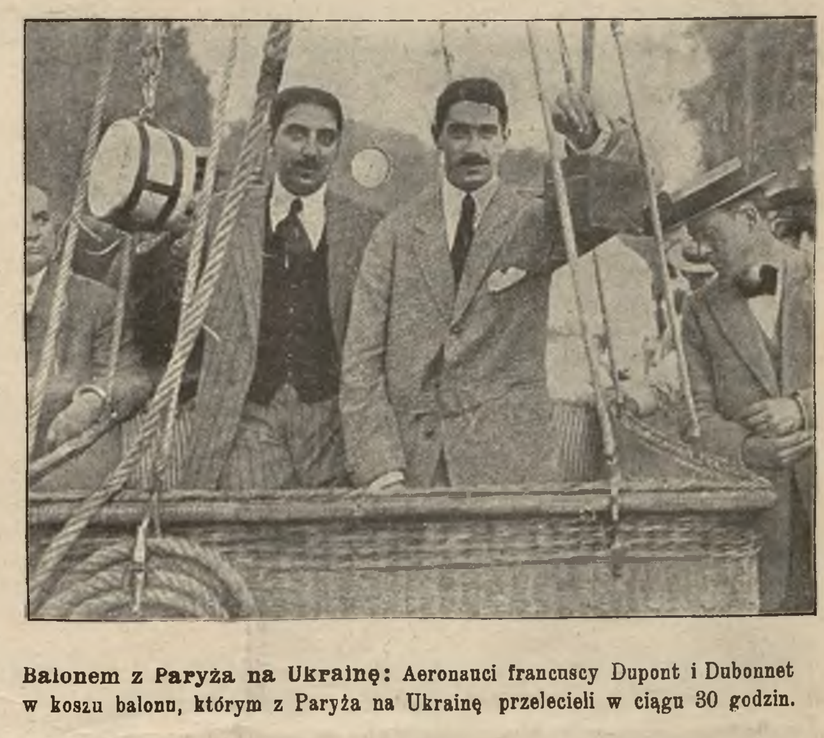
Hymen na scenie: Mikołaj Lewi-ki, reżyser opery warszawskiej.

Balonem z Paryża na Ukrainę.

Rozwój techniki aeronautycznej poszczycić się może coraz to większymi sukcesami. Z jednej strony coraz bardziej udoskonalane balony, napełnione gazem, z drugiej zaś aeroplany różnego typu dokonywują rekordów powietrznych, coraz bardziej dostosowując się do potrzeb codziennego życia. W tej napowietrznej komunikacyi, zdobyli obecnie rekord przestrzeni i czasu pp. Dubonnet i Dupont, którzy wzniósłszy się kulistym balonem „Kondor III“ w Paryżu, z szybkością około 100 klm. na godzinę przelecieli przestrzeń między Paryżem a Ukrainą w przeciągu 30 godzin i spadli we wsi Sokołówka w pobliżu Humania.

Podróż swą odbyli w czasie silnego mrozu, od którego znacznie ucierpieli, nie przyzwyczajeni do mroźnego klimatu. Nie uszkodziwszy balonu, opadli w szczerem polu i po godzinnej wędrówce piechotą dotarli do samotnej chaty, zamieszkałej przez rosyjskiego żyda. Tam przenocowali, a następnego dnia wyruszyli koleją w podróż powrotną. Jeden dzień zatrzymali się także w Warszawie.

Lotem swym zdobyli rekord przestrzeni i czasu, a drogę z Paryża do Sokołówki odbyli o połowę prędzej, aniżeli pociąg pospieszny.



Balonem z Paryża na Ukrainę: Aeronauci francuscy Dupont i Dubonnet w koszu balonu, którym z Paryża na Ukrainę przelecieli w ciągu 30 godzin.

Ze sceny i estrady.

Józef Węgrzyn, jeden z młodszych talentów dramatycznych sceny krakowskiej, jest pomimo to jedną z jej cennych, w niektórych rolach bardzo trudną do zastąpienia siłą. Sześć lat zaledwie pracy w drużynie artystycznej naszego teatru wysunęły go już w pierwsze jej szeregi. Talent jego aktorski stopniowo rozwijał się i mężniał i w ostatnich dwóch latach zajaśniał świetnym blaskiem w kilku pierwszorzędnych kreacyach. Wymienić tu należy przedewszystkiem rolę Orestesa w „Orestei“, gdzie gra jego miała posągowe linie szlachetnego i głębokiego piękna tragedyi greckiej. W tym samym rodzaju kreacyą była rola Hippolitosa w „Fedrze“, a następnie idą role Jaśka w „Zaczarowanem kole“ Rydla, Geniusza w „Wyzwoleniu“ i takie arcydzieło charakterystyki i gry, wstrząsającej widzem wskutek olbrzymiego napięcia uczuć, jak rola ślepca niemowy w „Judycie“ Hebbla.

Lecz najpiękniejszym może tryumfem młodego artysty była rola Rapsoda w „Legionie“. Uczuciowa treść tego dzieła, wskutek przetransponowania prawie wszystkich jego walorów scenicznych przez autora na niemal metafizyczne wartości, z trudnością torowała sobie drogę do serc widzów i słuchaczy. Lecz nasz młody artysta, szczęśliwym instynktem artystycznym wiedziony, nie zawahał się przemówić prosto a dobitnie do uczuć publiczności i nie zawiódł się. W roli swej, prawie wyłącznie deklamacyjnej, użył całej siły dramatycznego patosu i porwał widzów.

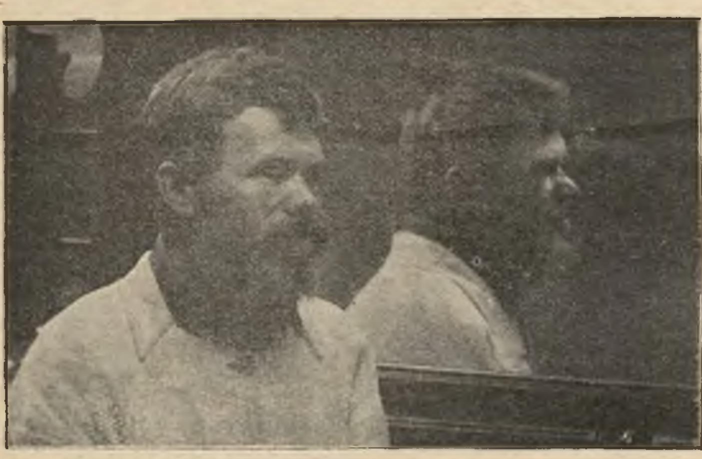
Ale nie tylko te role bohaterskie dramatu klasycznego leżą w zakresie jego talentu. Pamiętamy wszyscy cały szereg przez niego odtworzonych postaci komedyowych, które budziły u publiczności szczerą wesołość nie tylko płaskim komizmem, ale także doskonałem zrozumieniem całego charakteru granej osobistości i przestudyowaniem gruntownem roli, opartem na wybornej obserwacyi typów życio-



Ze sceny i estrady: Józef Węgrzyn, artysta teatru krakowskiego, jako Rapsod w „Legionie“.

wych. W tym rodzaju udają mu się znakomicie przedewszystkiem typy uczniowskie.

Te znakomite rezultaty zawdzięcza p. J. Węgrzyn nie tylko gorliwym studyom i dobremu kierownictwu, ale także doskonałym warunkom zewnętrznym.



Szpiegostwo bez końca: Iwan Horochowski, uwięziony we Lwowie.

Ma on rysy wybitne, twarz pełną wyrazu, harmonijną budowę ciała, głos głęboki i podatny do modulacyi. A przytem niewątpliwy, szczery talent. To wszystko zapewnia mu świetną przyszłość w karyerze scenicznej.

Zgon zacnego obywatela.

Sprawa polska w wschodniej Galicyi straciła znowu jednego z wybitnych swych szermierzy. Przed kilku dniami zmarł w swoim majątku Kołodziejówka, w pow. skałackim, w 63 r. życia Eustachy Zagórski, syn ś. p. Karola Zagórskiego, który był członkiem Stanów galicyjskich.

Jako długoletni prezes Rady pow. skałackiej położył wielkie zasługi około ekonomicznego podniesienia powiatu. Do niedawna ś. p. Zagórski zasiadał w Sejmie galicyjskim i w Radzie państwa. Po ostatnich wyborach do parlamentu zrezygnował ze swego mandatu, oddając go w ręce pos. Bieniowskiego.

Zmarły cieszył się zaufaniem swych współobywateli, a walce o polski charakter Galicyi wschodniej oddał wielkie usługi.



Niepoprawny morderca: Bandyta Białoń, morderca ajenta policyi lwowskiej, przewieziony obecnie ze szpitala do więzienia śledczego we Lwowie.

Szpiegostwo bez końca.

W Brodach aresztowała policya tamtejsza nowych dwóch szpiegów, jednego ze szajki Filemona Stecyszyna, drugiego najprawdopodobniej samoistnego szpiega.

Jak wiadomo w więzieniu lwowskiem znajduje się dotąd 10 osób ze szajki Stecyszyna, który bawi poza granicami kraju. Obecnie dostawiono z Brodów jeszcze jednego, mianowicie Iwana Horochowskiego, indywidyum liczące 48 lat, karane już za szpiegowstwo i za zbrodnie morderstwa 15 letniem więzieniem. Horochowski pochodzi z Dobrowodów w Rosyi. Do Galicyi wysłał go Stecyszyn, aby starał się jak najprędzej koniecznie zobaczyć z uwięzioną już przedtem Jacyszynową z Brodów, która odbierała korespondencyę i telegramy od Stecyszyna, przeznaczone dla



Niepoprawny morderca: Marya Hniatuk, narzeczona bandyty Białonia, mordercy ajenta policyi we Lwowie.

członków szajki w Galicyi. Do pośrednictwa w tej sprawie chciał użyć Horochowski męża Jacyszynowej, który nie był wcale wmieszany w sprawki swej żony. Jacyszyn odmówił temu, a Horochowskiego aresztowano i odstawiono do lwowskiego więzienia.

Drugi aresztowany nazywa się Łuńczeńko. Bawił on najpierw w Przemyślu, gdzie badał forty tamtejsze. Następnie przyjechał do Lwowa, a stamtąd udał się do Brodów, gdzie zameldował się tam jako Mikołaj Michejłów Chiżniak. Policya zwróciła na niego uwagę i aresztowała, przyczem znaleziono przy nim rozmaite kompromitujące papiery, świadczące o rzemiośle szpiegowskiem. Łuńczeńko odstawiony został do więzienia we Lwowie.

Niepoprawny morderca.

Morderca ajenta policyjnego Kuranta we Lwowie, Białoń, jest jednym z najniebezpieczniejszych opryszków, który ma już bogatą przeszłość za sobą. Brał on udział w licznych napadach, rabunkach i morderstwach, a choć towarzysze jego bandyckich wypraw wpadli w ręce sprawiedliwości, potrafił przez czas dłuższy ukrywać się przed pościgiem policyi. To też władze otoczyły go obecnie bardzo czujną opieką, aby przeszkodzić ewentualnym próbom ucieczki... Po wyleczeniu się z rany, którą zadał mu zamordowany przez niego ajent policyi, Białoń został przewieziony do więzienia śledczego i zakuty w podwójne kajdany, na rękach i nogach, jak to widzimy na naszej illustracyi... „Dolę i niedolę“ Białonia dzieli również jego narzeczona, Marya Hniatuk, którą aresztowano pod zarzutem, iż była cichą współpracowniczką bandyty...



Szpiegostwo bez końca: A. Łuńczenko, aresztowany w Brodach i osadzony w więzieniu lwowskiem.

Jubileusz humorysty-rysownika.

(Do illustracyi na str. 4).

Kto przegląda warszawskie pisma humorystyczne, od szeregu lat spotkał się na ich łamach z nazwiskiem Ludwika Nawojewskiego, który w bieżącym roku obchodzi dwudziestopięcioletni jubileusz swej pracy rysowniczej. Pseudonim jego „Nawoj“, którym podpisuje swe illustracye, jest znany szeroko, a niejednokrotnie reprodukcye jego prac artystycznych spotkać można było i w pismach zagranicznych.

Urodzony w Radomiu, jubilat od najmłodszych lat zdradzał wybitne zdolności artystyczne. Już jako uczeń gimnazyalny przerysował wydany później w Krakowie zbiór medali i monet dra Rewolińskiego. Następnie pod wytrawnem kierownictwem Gersona ukończył warszawską szkołę rysunkową i rozpoczął swą pracę twórczą jako utalentowany i ceniony rysownik humorysta.

Dwudziestopięciolecie jego pracy na tej twórczej niwie artystycznej koledzy jubilata uczcili skromnym, lecz serdecznym obchodem w dniu 27 stycznia b. r.

Uroczystość tę obchodzi p. Nawojewski w pełni sił i w pełni rozwoju swego talentu, ma więc jeszcze przed sobą szerokie pole do dalszej, równie owocnej pracy na niwie artystycznej humorystyki.

Z półek księgarskich.

„Architekt“ zesz 11 za styczeń zawiera treść następującą: Do kolegów, architektów z powodu wystawy w Krakowie (od zwa komitetu) Stanisław Goliński: Estetyka ogrodu (z licznemi illustracyami) Wacław Krzyżanowski: Odczyty we Lwowie. Kronika. Piśmiennictwo. Konkursy Na dwóch dołączonych tablicach: plany i widoki ogrodów rzymskich, włoskich i francuskich.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 3.

Bilety wizytowe: Czeladnik krawiecki. Kominiarz. Zegarmistrz. Malarz pokojowy i dekoracyjny.

Szarada: Pokora.

Szarada: Ulewa.

Szarada: Wybory.

Zadanie do przestawienia: Jaką miarą mierzysz, taką ci odmierzą

Łamigłówka: Każdy sobie rzepkę skrobie.

Zadanie do przestawienia: Jaka praca, taka płaca.

Zagadka: W żłobie leży.

Rebus: Przyjaźń wkłada na człowieka nieraz ciężkie obowiązki.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: O Siwicki Lwów, A. Balicki Stanisławów, Z. Gliński Kołomyja, H Kozicki Kraków, J. Jaskólski Warszawa, S. Rychlik Sambor, J. Łopatkiewicz Krosno, S Świrski Stanisławów, J. Kwaśniewski Piotrków, W. Bardowski Sandomierz, M Ostrowski Lwów, Z Misiński Tarnów, F Radomski Jasło. H Barger Lwów, M. Osadzińska Rzeszów, A Dożak Sambor. J Lewandowski Kraków, W. Potocka Lwów D Sedzińska Kraków, J. Jakubowska Kraków, M. Węgkowska Warszawa, R Trojacki Wiedeń, H Sperling Wiedeń, J. Obst Piotrków, M. Pick Łódź, S. Römer Kraków, W. Thun Płock, M. Kalinowska Petersburg. J Trepka Radom, T Mazaraki Sandomierz, M Krawiecka Przemyśl, I. Nowacki Rzeszów, S Kozłowski Lwów, H Galiński Sanok, D Łopatyński Lwów, A Siatka Kraków. S Wajda Kraków. T Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. E Niestenberger Kraków. J. Piotrowski Lwów, J Roland Prądnik Czerwony, F Gebhardt Kraków, M Planeka Kraków A Gralewski Kraków, K Kam Kraków, S Kowalówka Kraków, K Scholz Lwów, A. Bernatowicz Drohobycz, M. Linderski Sanok, R Kiniński Lwów, A. Fiala Sambor, J Zachara Mielec. T Wyka Rozwadów, E. Rosenbaum Bochnia, D. Engelberg Radomyśl, I Brzostowski Kraków, J. Strojek Podgórze, D Michalski Sosnowiec, C. Janik Żółkiew, J. Wiewiórowski Cieszyn, H Wilczkiewicz Jasło, G Obraczay Morawska-Ostrawa. J. Jehuda Cieszyn. T Piątek Podwołoczyska. B. Michalec Zakopane, J Lipiński Zakopane, M Suchecka Nowy Sącz, C Weing Tarnobrzeg. M. Klapholz Rzeszów, J. Antosz Rzeszów, F. Broda Strzyżów. W. Dąbrowski Lwów, S Rosner Kołomyja, K. Bielawski Rzeszów, T Bobrowski Kraków. W. Rosengarten Tarnów, R Paleczny Sanok, M. Serkowski Mińsk, J. Szczęsnowicz Kraków, B Jasiński Pułtusk, T Korzeniowski Płock, H Rogozińska Kalisz, J Szklarski Nowogród, S Stachurski Kraków, J Banke Tarnopol, M Solecka Jasło, K. Lipski Krosno, J Czepielowski Sanok, D. Kawski Sanok, H Madejski Lwów. T. Zakrzewska Stanisławów, J Lisowski Chrzanów, M Knapińska Rzeszów. T Lang Cieszyn, J. Kozak Podhajce. I Kosiński Mielec. D Gross Lwów, R Giżycki Kijów, J. Topolnicki Kamieniec. M Solecka Sambor. B Świtlikowa Rzeszów, J. Różnistowski Jabłonów, W. Bartoszyńska Gorlice, M. Serbeńska Budzanów, M Szeparowicz Stryj, M. Zabierzewska Kraków, K. Szumińska Rawa Ruska, M Arbesbaner Lwów, J Borliga Lwow. W Rapacz Brzęcin, K Fuchs Czeremchów, S. Ryszkowski Kraków, M Oleksiukowa Holeszów, W. Skowronowa Racborowice.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Szczęsnowicz Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki

Odpowiedzi Redakcyi.

W sprawie Szarady konkursowej: Zwracamy jeszcze raz uwagę P. T. Prenumeratorów, iż tylko te rozwiązania będą dopuszczone do rozlosowania, które nadesłane będą na odpowiednich kuponach, wyciętych z odnośnego numeru Nowości Illustrowanych Do każdego rozwiązania winno być dołączone znaczenie stu wyrazów

WP. Józef Polz, Jarosław: Mogą być wszelkie części mowy. Każdy, oprócz ubiegania się o nagrodę 100 kor. może wziąć udział także i w losowaniu ogólnem, o ile zadość uczyni odnośnym warunkom

WP. Stefan Spunda, Kozaczówka: Wyrazy, o które WPan zapytuje, są odpowiednie

Głosy publiczne.

Z „Cyrku Edison": Z dniem 2 lutego zmiana programu, którego punktem kulminacyjnym będzie wspaniały dramat mimiczny w 4 aktach układu Urbana Gada p. t. „Czarny Sen" z niezrównaną Astą Nielsen w roli tytułowej Nie mniejszą atrakcyą będzie pełen komizmu i niekrępowanego humoru obrazek „Maciuś jako ofiara wina Bordeaux" w wykonaniu Maksa Lindera oraz doskonała poza „Natrętny służący". Program dopełni aktualny jak zawsze Żurnal Pathego, przynoszący przegląd najważniejszych wypadków z ostatniego tygodnia z dziedziny polityki, sportu, katastrof, mód kobiecych i t. d.

Równocześnie zaznaczamy, że w piątek dnia 2 lutego 1912 z powodu święta będą dane 2 przedstawienia, o godzinie 4-tej po południu i 8-mej wieczór.

NADESŁANE.

Ze świata kobiecego.

Karnawał.

Karnawał ma dużo cech wspólnych z piękną kobietą; jak ona — zachwyca i upaja, jak ona, jest



Suknia wizytowa (fotografia p. Berty Bovy, artystki Comédie-Française). Suknia z aksamitu koloru *fraise,* obszyta u dołu i przybrana szalem z gronostajów. Kapelusz biały przybrany rajerem. Ogromna mufka gronostajowa.

kapryśny i świetny, jak ona, dużo kosztuje, wreszcie jak ona, zrana bywa zaspany i w złym humorze. Tegoroczny karnawał jeszcze przeciąga się i ziewa. zdaje się jednak, że bal Rabczańskich był tym silnym powiewiem, który otrząsnął go z zaspania. Licznie zapowiadane dalsze bale, wieczory i tańczące herbatki, dadzą pole paniom naszym uwydatnienia swych wdzięków przez balowe toalety i ozdobne ramy tańczącej zabawy. A moda dzisiejsza, tak pięknością linii, jak i bogactwem wyrobów tkanin i ozdób, jest najlepszą rzeczniczką urody kobiecej.

Pierwszorzędne magazyny paryskie wyrabiają wprost arcydzieła. Postaram się opisać kilka piękniejszych, choć, aby uplastycznić harmonię barw tych toalet, trzebaby chyba maczać pióra w rosie porannej, skąpanej w promieniach słońca.

A jednak spróbujmy! Pomoże to niejednej z pań, w obmyśleniu nowej sukni, lub przerobieniu zeszłorocznej.

Oto suknia niebieska (*bleu ciel),* której przód cały jest pokryty haftem ze złota i pereł, niesłychanie bogatym, w stylu asyryjskim. Tył sukni, zupełnie niezależny, spływający od wysokiego stanu, wykonany z białego atłasu i otoczony haftem ze złota i pereł, obejmującym i długi tren kwadratowy, na wzór płaszcza królewskiego. Stanik pokrywa draperya koronkowa, przytrzymana w pasie szerokim haftem, obciągającym stan, z pod którego ku górze wymyka się tiul różowy, otaczający dekolte. W całości harmonia barw jest tak nadzwyczajną, że stanowi pewien typ toaletowych kombinacyi zupełnie artystyczny.

Można powiedzieć bowiem, że dzisiejsza moda pozostawia tylko dwa rodzaje sukien balowych jednobarwnemi: białe atłasowe i czarne aksamitne, poza niemi większość toalet jednoczy kilka tonów jaskrawszych lub łagodnych, pięknie zharmonizowanych.

Toaletą jak z czarodziejskiej bajki była suknia jednej z pań na wspaniałym balu, którym otwarto rok nowy w jednym z najbogatszych salonów w Paryżu. Suknia z miękkiej materyi o tonie *changeant* błękitno-zielonym, otulająca całą postać w miękkich, szalowych fałdach, przykryta w tenże sposób gazą białą, na której, skośnie od prawego biodra do lewego kolana i od prawego ramienia na lewe biodro, w dwoistych skrętach spływała frendzla ze srebra, pereł i nitek brylantowych.

Inna z pań miała obcisłą suknię z aksamitu niebieskiego, haftowanego w wielkie irysy różowe, podniesione tonem złotym. Górna część biustu przykryta *chifonem* niebieskim, przykrywającym dyskretnie haft z bladych korali, przystrajający galonem przód i plecy stanika. Tu znowu suknie z białej koronki, przybrane tuniką ze złotej gazy, z galonem złotym, haftowanym perłami i ametystami.

Na wyścigi z sukniami idą w przepychu swym płaszcze. Obok kosztownych i wspaniałych okryć futrzanych, widuje się olśniewające pięknością okrycia jedwabne. Fason utrzymuje się stale obszernych i długich mantyli w stylu Ludwika XVI.; jako materyał miękkie brokaty, jedwabie mieniące, *velours chiffon*, a nawet koronka, podbita jedynie jedwabnym muślinem. *Le dernier cri de la mode* jest płaszcz aksamitny, z szeroką falbaną koronkową, przytrzymaną paseczkiem futra: soboli, gronostai, lub szynszyli, zależnie od koloru płaszcza.

Tuniki proste, spływające z pod biustu, z jedwabnego muślinu lub gazy, ozdobione haftem, złotem lub kamieniami u dołu, są zawsze bardzo modnemi. Dodaje się do nich często bolero z takiegoż haftu, jak dół tuniki. Haft często zastępowany bywa girlandą kwiatów lub paciorków. Również niezmiernie są używane hafty bizantyjskie ze złota i kamieni, na tle ciemnem w barwach żywych, lecz nie odskakujących jaskrawo.

Widziałam w tym guście cudną toaletę z gazy w tonie fijołkowo-czerwonym, ciepłym i efektownym, zahaftowaną aż po biodra ciemnem złotem, ametystami, topazami i turkusami, która przywodziła na myśl stroje cesarzowych bizantyjskich. Tego rodzaju toaleta, ciemna, a wspaniała, nadaje się nadzwyczaj dla brunetek, dla typów wschodnich, a także dla pań trochę otyłych, ciemny ton sukni bowiem maskuje tuszę.

Modne są także tuniki aksamitne, spływające z ramion na szkice z koronki, przyozdabiają się one haftem lub wyszyciem z pereł i zakończa ciężkiemi żołędziami, obciągającemi wspaniale taką, iście królewską szatę.

Widziałam podobnie zrobioną toaletę z białego aksamitu, obramowanego szynszylą.

Co do trenów, to wielce szykownem, choć nieco wyzywającem jest noszenie trenów, zupełnie niezawisłych, od samych ramion. Panie, lubiące spokojniejszy typ, noszą je od wysokiej talii, często wycięte w dwa długie końce, na wzór ogona jaskółki.

Każdy tren, wychodzący z eleganckiego magazynu, zaopatrzony jest w odpowiednie, ukryte klamerki, które pozwalają podpinać je przy wychodzeniu. Wobec kosztowności obecnych toalet szczegół to niezbędny. *Ramo...*



Kostyum zimowy z welwetu koloru śliwkowego, przybrany srebrnymi guzikami. Kołnierz z oposów.

GASTON LEROUX.

BALAOO

15)

Mer, który w rzeczywistości rozporządzał siłą zbrojną w postaci woźnego i pisarza, spojrzał po otaczających. Zdawało się, że ci biedni ludzie nie śmią oddychać z przerażenia. Państwo Sagnier i Valentin stali razem trzymając się w objęciach. Doktor Honorat siedział na krześle, nie dając znaku życia.

Mer przeczytał po raz piąty depeszę, nie znajdując ani w niej ani w sobie żadnej rady. Wszyscy zdawali się liczyć na niego. Mer powtarzał:

— Zrobić co należy... zrobić co należy... dobry jest ten prefekt... Powinien był przysłać nam żandarmów. Przecież nie przypuszcza, że sami potrafimy sobie dać radę!...

Nowe uderzenia w drzwi. Wszyscy drgnęli. Głos za drzwiami krzyczał:

— Prędzej! Prędzej! Otwórzcie! To ja, Clarice — otwórzcie na miłość Boską!

— Służący Camusa! Trzeba zgasić światła! Oni tu wszyscy przybiegną! — zawołał Roubion.

A tamten darł się za drzwiami:

— Otwórzcie! Otwórzcie!

Otworzono mu, zaklinając się, że więcej nikogo nie wpuszczą.

Chłopak był bardziej przerażony niż poprzednio przybyli. Nie widział on trzech braci, ale natknął się na trupa pana de Meyrentin, zawieszonego na drzewie przy drodze do Riom. Wiadomość ta wywarła piorunujące wrażenie. Zemsta Vautrinów rozpoczęła się! Po krzykach rozpaczy i przerażenia, salę zaległo grobowe milczenie.

Mer, rozmyślający nad tragizmem położenia — ujrzał nagle przed sobą twarz, wykrzywioną wściekłością. To doktor Honorat — wygrażając mu pięściami przed nosem, krzyczał jak waryat: „Wszystko to pańska wina!"

Zdawało się, że inni tylko na to czekali. Posypały się zarzuty, okrzyki oburzenia. Zarzucano merowi, że był za miękki, że protegował trzech braci, że pomagał im.

Biedny mer nie mógł dojść do słowa.

Wszyscy teraz krzyczeli.

— Pan się stał ich wspólnikiem! Tak, ich wspólnikiem.

Doktór Honorat, blizki obłędu, rzucił słowo: „Morderca!"

Krzyczeli tak głośno, że nie usłyszeli dobijania się do drzwi od podwórza. Wreszcie jedna z hafciarek dosłyszała stukanie i poczęła wrzeszczeć:

— Słuchajcie! Słuchajcie!

Wszyscy uciszyli się i wówczas usłyszano ciężkie uderzenia w drzwi i przytłumiony głos, wzywający mera.

Tym razem — nie można się było pomylić — poznano głos Huberta!

Mer zwrócił się do Roubiona:

— Chodźmy, Roubion — trzeba się dowiedzieć, czego chcą. Pan nie miał z nimi nigdy żadnych zatargów? Prawda?

— Nigdy! Nigdy! — oświadczył Roubion pośpiesznie i z widocznem zadowoleniem. — Zawsze żyłem z nimi w zgodzie.

— Zabraniam ci iść — krzyknęła pani Roubion.

— A więc sam pójdę! — rzekł mer.

Uderzenia w drzwi rozległy się na nowo.

Roubion zdecydował się.

— Pan mer ma racyę — co mi mogą zrobić złego? Zawsze byłem z nimi dobrze. Nigdy nie odmawiałem im szklanki wina. Czego się mam bać? Może poprostu przyszli napić się czego...

— Przecież nie otworzycie im drzwi! — jęknęła pani Valentin.

— Nie — odparł mer — ale można z nimi pomówić.

— Otworzę okienko w drzwiach, tak będzie najlepiej — oznajmił Roubion.

— To prawda, że nie mogą mieć do nas żadnych pretensyi — rozumowała pani Roubion. — Byli zawsze dobrze obsłużeni. Jeżeli chcą się napić czego, można będzie podać butelkę przez okienko. Chodźmy wszyscy!...

— Tak — odrzekł mer — chodźmy wszyscy!...

Poszedł jednak tylko mer i oberżysta. Nieobecność ich trwała około pięciu minut, które wydały się reszcie towarzystwa wiekami. Wreszcie powrócili. Gdy ukazali się na progu sali, wszyscy poznali z ich twarzy, że nie przynosili nic dobrego. Doktor, aptekarz i notaryusz nie spuszczali oka z mera, czekając, żeby przemówił.

— Mów pan wreszcie, o co chodzi — odezwała się p. Sagnier.

— No więc... — rzekł mer, wycierając twarz chustką — no więc... mówiłem z Hubertem. Żąda, żebyśmy im wydali doktora Honorat.

Doktor, słysząc to, podskoczył na krześle. Wśród głębokiej ciszy mer rzekł:

— Spełniłem swój obowiązek i odmówiłem.

— Dobrze pan zrobił — odezwał się p. Sagnier. — Dobrze pan zrobił. Jesteśmy uzbrojeni. Będziemy się bronili, aż do śmierci! Możemy przetrzymać oblężenie, dopóki nie przybędą żandarmi.

— Pan Sagnier ma słuszność — rzekł blady notaryusz. — Ci bandyci żądają teraz wydania doktora, kiedy się dowiedzą, że my jesteśmy, zechcą i nas zabrać. Za kogo nas biorą? Nie damy się podusić, jak jagnięta!

Żony aptekarza i notaryusza nie odzywały się, przyglądały się tylko milczącemu doktorowi, który powinien był, ich zdaniem, poświęcić się, żeby uratować innych.

— A co Hubert odpowiedział? — zapytała pani Godfroy.

— Powiedział, że pójdzie naradzić się z braćmi i odszedł.

— Czy zwrócił im pan uwagę, że się bardzo narażają, zostając w mieście? Że zrobiliby lepiej, uciekając stąd?

— Mówiłem to — rzekł chłodno mer — odpowiedział mi, że nie powinno mnie to obchodzić.

Żona oberżysty rzekła:

— Może nie wrócą więcej! Zdaje mi się, że najlepiej będzie, jeżeli państwo pójdą do domu...

Wszyscy oburzyli się na tę propozycyę. Gotowi byli czekać w oberży wschodu słońca, a zwłaszcza przyjazdu żandarmów.

— Posłuchajcie! — rzekła matka Tousaint.

Uderzenia w drzwi ozwały się na nowo. Mer wyprostował się, jak bohater, idący na śmierć niechybną i skierował się do drzwi. Roubion chciał iść za nim, ale żona nie pozwoliła mu.

Żona mera spojrzała surowo po obecnych i rzekła:

— Co za straszna historya! Trudno być merem w takich warunkach. Trzeba mieć wiele odwagi!

Odważny mer powrócił. Teraz był prawie tak blady, jak i inni.

— Hubert powiedział mi, że po naradzie z braćmi postanowili wymordować wszystkich, którzy się tu znajdują, jeśli nie wydamy doktora Honorat. Odpowiedziałem im, że jesteśmy uzbrojeni, że będziemy bronili życia i że doktora nie wydamy.

Hafciarki poczęły narzekać: nie miały nigdy żadnych zatargów z braćmi, nic więc nie ryzykują, jeżeli wyjdą z oberży i wrócą do domów.

— Nikt nie wyjdzie stąd bez mego pozwolenia — powiedział mer. — Trzej bracia i Zoe pilnują drzwi i zapowiedzieli, że zatłuką każdego, kto wyjdzie! Zresztą wiedzą oni doskonale, kto tu jest.

— A więc i o nas wiedzą? — zapytali aptekarz i notaryusz.

— Wiedzą.

— I... nic nie mówili... o nas?

— Nic.

— A więc chodzi im tylko o doktora! — oznajmiła pani Sagnier, rzucając na nieszczęśliwego straszne spojrzenie.

— Tak! tak! — powtórzyli aptekarz i notaryusz — chodzi im tylko o doktora!

W tej chwili rozległy się na ulicy jakieś kroki, przekleństwa, jakiś ruch, jak gdyby coś znoszono przed drzwi oberży. Jednocześnie dał się słyszeć głos Szymona:

— A siedźcie tam cicho, bo wam gęby pozatykam ołowiem.

I jakby na poparcie swej groźby wystrzelił, budząc całą wieś.

Hafciarki padły na kolana i poczęły głośno się modlić. Co się tam działo na ulicy? Wszyscy zadawali sobie to pytanie i nie mogli znaleźć na nie odpowiedzi. Tymczasem aptekarz i notaryusz zdobyli się na bohaterski wysiłek i zastawili drzwi wychodzące na podwórze bilardem. Mer, oberżysta i kilka kobiet pomagali im w tej czynności. Doktor Honorat siedział w rogu na krześle, niepodobny do człowieka. Żona aptekarza, odważniejsza od innych, gdyż miała kiedyś awanturkę miłosną z wojskowym, zachowywała względny spokój i wciąż rzucała spojrzenia, pełne pogardy, na nieszczęsnego doktora. Żona mera szlochała. Mer, rozdrażniony jękami i modłami, nakazał milczenie. Gdy obecni uspokoili się nieco, odważny mer wlazł na krzesło, by przez otwór w okiennicy zobaczyć, co się dzieje przed oberżą. To, co zobaczył w chwiejącem się świetle latarni, musiało napełnić go nowem przerażeniem, gdyż nie mógł powstrzymać się od wydania okrzyku. Wszyscy otoczyli go natychmiast, natarczywie żądając wyjaśnień. Ale mer zeskoczył lekko z krzesła i rozdrażnionym głosem prosił o ciszę. Rozpychając otaczających go, podszedł do drzwi, wychodzących na ulicę, uderzył w nie silnie pięścią trzykrotnie i krzyknął:

— Ej! Wy tam! Odpowiadajcie! Co tam robicie?

Hałasy na ulicy ucichły. Mer zawołał braci po imieniu. Ktoś zbliżył się do drzwi.

— Kto tam? — zapytał mer.

— To ja, Hubert.

— Tutaj mer mówi.

— Do usług! Co pan mer rozkaże?

— Chcę wiedzieć, co tam robicie na ulicy?

— Znosimy słomę, panie merze!... Piękną, suchą słomę, która mogłaby się zmarnować na strychach poczciwych mieszczan.

— I pocóż znosicie tę słomę?!

— Żeby was spalić razem z oberżą, panie merze, jeżeli nie wydacie tego doktora!

W odpowiedzi na to straszne oznajmienie, jęki i okrzyki rozpaczy wypełniły izbę gospody.

Mer gwałtownym ruchem ręki nakazał milczenie.

— Nie zrobicie tego! Nie możecie tego zrobić! Ach! on nie odpowiada! Cicho bądźcie do dyabła! Hubert! Hubert!

— A co, panie merze?

— Wy tego nie zrobicie!

— Ciekawym dlaczego? Zoe daj mi zapałki!

Krzyki, jęki, szlochy!

— Zamilknijcie raz do krośset! Hubert! Nie możecie tego uczynić! Tu są kobiety, rozumiecie? Kobiety! Młode dziewczęta!

Straszny głos Huberta rozległ się na ulicy.

— Gwiżdżemy na kobiety! Dajcie nam doktora!

Potem pochylając się do dziurki od klucza dodał ciszej:

— Wyjdziecie cało wszyscy! Aptekarz i notaryusz i ich żony! I wszyscy! Ale wydajcie nam doktora! Rozumiecie? Jeżeli go wydacie, wszystko będzie zapomniane!

Tym razem zbój mówił zanadto jasno, żeby nie być zrozumianym.

J dnocześnie w otworach okiennic pokazał się płomień. To zdecydowało o losie doktora. Aptekarz i notaryusz wraz z żonami zwalili się na nieszczęśliwego. Ale ze zdumieniem przekonali się, że doktór się broni! Czując na sobie ręce napastników i słysząc ich krzyki, biedny doktór zrozumiał, co mu grozi i począł się bronić z całych sił. Rozpoczęła się dzika, wstrętna bójka. Napastnicy nie myśleli już teraz o wypchnięciu doktora na ulicę. Instynktownie mścili się na nim za swoje własne tchórzostwo i za swój przestrach. Tymczasem za nimi dom poczynał płonąć i słychać było trzeszczenie drzewa.

Na ulicy na nowo rozległy się krzyki i wystrzały. Odezwał się dzwon, oznajmiając wsi i okolicy o niebezpieczeństwie, wzywając pomocy. Dzikie głosy trzech braci i przenikliwy wrzask małej Zoe panowały nad wszystkiem. Starali się teraz wyważyć drzwi obeiży.

Kobiety puściły wreszcie doktora, podrapanego do krwi i w podartem na strzępy ubraniu i prześlizgując się pod bilardem wybiegły na podwórze. Mężczyźni pospieszyli za niemi. Ale brama od podwórza była zatarasowana.

Roubion nieprzytomnie powtarzał:

— Spalą mi dom! A strażacy nie przyjadą! Mój dom się pali!

Tłum wystraszony otoczył znowu mera, żądając znowu ratunku. I byłby się na niego rzucił, jak przedtem na doktora, gdy nagle płomień, który jasno oświecał podwórze, zgasł, jak zdmuchnięty.

Krzyki na ulicy ucichły, dzwon zamilkł. Ta nagła cisza i ciemność zdziwiły wszystkich. Przez chwilę wszyscy stali w milczeniu, nie rozumiejąc, co się stało:

Wreszcie mer odezwał się:

— Zapalili wiązkę słomy, żeby nas nastraszyć i poszli.

— Może przybyli żandarmi?! — pomyślała głośno pani Roubion.

Oberżyście, który ciągle myślał o pozbyciu się całego towarzystwa, przyszedł dobry pomysł:

— Może uda się nam dostać do merostwa. Tam się ukryjemy. Chodźmy na strych!

Ruszył przodem, a za nim inni zaczęli wdrapywać się na strome, drewniane schody. Szli pociemku, macając drogę przed sobą i potykając się co krok. O doktorze zapomnieli zupełnie. Nikt nie wiedział, co się z nim stało i nikt się tem nie zajmował. Weszli na strych — Roubion wsadził głowę w dymnik i rozejrzał się. Wprost siebie miał tyły zabudowań merostwa, tonące w mroku i nie dające znaku życia. Roubion cofnął się i rzekł cichym głosem:

— Widzę nauczyciela (w rzeczywistości nie wi dział nikogo), daje mi znaki, że musimy tędy zejść. Bracia Vautrin nigdy nie domyślą się, że można uratować się tą drogą. Zanim znajdą nasz ślad, będziemy stąd daleko.

— To niezła myśl — rzekł mer.

— A więc spróbujmy — odparł Roubion. — Mamy tu blok i sznur. To wszystko, czego potrzebujemy.

Mer oznajmił, że jak kapitan na tonącym okręcie, zejdzie ostatni. Ale wytłumaczono mu, że tu rzecz ma się inaczej i że właśnie pierwszy naraża się najwięcej. Jeżeli pierwszy zejdzie szczęśliwie, wszyscy będą uratowani. Mer uściskał żonę i mężnie zsunął się po sznurze. Inni poszli za jego przykładem, z mniejszem lub większem wzruszeniem, niemniej jednak szczęśliwie. Gdy wszyscy już byli na dole, mer zakomenderował:

— A teraz do merostwa!

— Tylko bez hałasu! — dodała żona dygnitarza.

Nikt nie zamierzał hałasować. Szli ostrożnie, trzymając się ścian. Nie zapomnieli jednak zawołać zcicha nauczyciela. Nikt się nie odezwał. Roubion wyraził przypuszczenie, że nauczyciel musiał się położyć na nowo. Głęboka cisza panowała we wsi. Uciekający szli na palcach, cisnąc się jedni na drugich i tłumiąc oddech. Nikt nie myślał o doktorze i nie odczuwał jego braku. Gdy, prześlizgując się wzdłuż murów, dochodzili do placyku, który trzeba było przejść, wszyscy zatrzymali się nagle, jak jeden człowiek. Stanęli, jak wryci, bez wydania okrzyku, bez ruchu najmniejszego. W kręgu światła, jakie rzucała latarnia na rogu ulicy Nowej, ujrzeli przechodzących Szymona i Eliasza. Prowadzili oni doktora Honorat z zakneblowanemi ustami i związanemi rękoma. Za nimi szedł Hubert ze strzelbą na ramieniu i Zoe — niosąca dwie strzelby.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka kucharska.

Ułożyła M. Rapaczowa, Bolęcin.

Z podanych wyrazów wyjąć po jednej literze i ułożyć z nich nazwę znanej konfitury.

Comber
Raki
Kunerol
Omlet
Sos
Kotlet
Jaja
Budyń
Placek
Kapusta
Tort
Zupa
Bigos
Rosół
Mięso
Krem
Bulion
Piwo
Karp

Trókąt magiczny.

Ułożył S. N. Lwów.

Litery uporządkować w ten sposób, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda nam nazwisko twórcy jednej z religii.

a	a	a	a	a	d	e
e	e	h	h	k	l	
l	m	m	m	m		
o	o	o	r			
r	t	t				
t	t					
y						

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Wódz jednego z plemion koczowniczych w średnich wiekach. 3. Poeta grecki. 4. Rzeka w Niemczech. 5. Roślina. 6. Pseudonim jednego z współczesnych polskich poetów. 7. Spółgłoska.

Bilety wizytowe.

Ułożyli K. Fuchs, Czeremchów i S. N. Lwów.

Z liter umieszczonych na biletach, ułożyć zajęcie, ewentualnie godność każdego z tych osobników.

TEODOR A. TRAPIRECKI

ELIASZ KRYNUNSKI
Radki

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. N. Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

K i r, m a t, p i k a, J a n k a.

Logogryf.

Ułożył A. Lorencki, Warszawa.

Kwadraty i kreski, zastąpione odpowiednio literami, utworzą szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nam nazwisko nieżyjącego już polskiego malarza.

— — — □ — — —
— — □ — —
— — □ — —
— □ —
— — □ — —
— — □ — —
— — — □ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Morze dzielące Europę od Azyi. 2. Miasto w Królestwie Polskiem. 3. Imię męskie. 4. Urzędnik we Francyi. 5. Inaczej błazen. 6. Miasto w Królestwie Polskiem. 7. Stronnictwo narodowe w Anglii.

Kwadrat magiczny.

Ułożył A. Lorencki, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstał szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, pionowy i poziomy, poda nazwę jednego z najwyższych szczytów alpejskich.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
□ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka w Rosyi. 3. Przyrząd sportowy. 4. Imię męskie. 5. Szukany wyraz. 6. Miasto w Rosyi. 7. Jedna z ulic w Warszawie. 8. Owad. 9. Samogłoska.

Szarada.

Ułożyła K. Szumańska, Rawa Ruska

Pierwsza z drugą świętość znana
U narodów szanowana,
Pierwsza z czwartą rzeczy ludzi,
Gdy ... się znudzi.
Trzecia z czwartą w ludzkiej twarzy,
Pięknie brzydko, jak się zdarzy,
Pierwsza, czwarta, no i trzecia
Nie dopatrzysz tu gdzie śmiecia,
Czysto, jasno i cieplutko
Siedzisz długo, czasem krótko;
W każdem mieście się znajduje,
Człek jak w domu tam się czuje.
Druga z czwartą, ach, jak zagra,
Choć dokucza ci podagra,
Nie ustoisz, precz ze smutkiem,
W pląsy z dziewczęciem młodziutkiem!
Całość, marność w dym puszczona,
Znajdziesz także u Szkowrona

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Gruszeckiego:* **Kolejarze.** Powieść współczesna.

Z dziedziny kosmetyki.

Odpowiedzi.

Halince, Sokołów. Otrąbki abaridowe jako ciało obojętne nietylko znakomicie oczyszczają skórę zewnątrz ale otwierają pory i dozwalają wszelkim nieczystościom podskórnym wydobywać się na powierzchnię. Najlepiej twarz myć gąbką zmoczoną w dobrze ciepłej wodzie i zanurzoną w otrąbkach. Biust i plecy należy myć tym samym sposobem.

K. P., Krosno. Wagryna przygotowana jest specyalnie przeciw usunięciu czarnych punkcików na twarzy. Nieszkodliwa i nie drażniąca skóry. Prawdziwie skuteczna. Przy stosowaniu wagryny należy używać mydła dra Krysiewicza. Do konserwacyi zębów i jamy ustnej nadają się najwięcej zalecane przez lekarzy, eliksir, proszek i pasta Tymentol wyrobu Centr. Labor. Chem. w Warszawie.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.